

# aleje 3

NUMER 68

lipiec - sierpień 2008

ISSN 1427-8812

CENA 2 zł

Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy







# aleje 3

Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy

Pismo finansowane  
przez Urząd Miasta Częstochowy

## Wydawca

Biblioteka Publiczna  
im. dr. Wł. Biegańskiego  
w Częstochowie  
Al. Najświętszej Maryi Panny 22  
42-200 Częstochowa  
Tel. 034/ 360-56-28  
[www.biblioteka.czyst.pl](http://www.biblioteka.czyst.pl)

## Redakcja

Aleje NMP 22  
42-200 Częstochowa  
Tel. 034/ 360-56-28  
[aleje3@op.pl](mailto:aleje3@op.pl)

Teksty niezamówione nie będą zwracane.  
Zastrzegamy sobie możliwość opracowania  
i skracania przysłanych materiałów.

Poglądy Autorów nie zawsze  
odzwierciedlają poglądy Redakcji

## Red. Naczelny

Marian P. Rawinis  
Tel. 0505-666-486  
[mprawinis@poczta.onet.pl](mailto:mprawinis@poczta.onet.pl)

## Skład i łamanie

Krzysztof Klaus

## Druk i oprawa:

Sowa - druk na życzenie  
[www.sowadruk.pl](http://www.sowadruk.pl)  
tel. (0-22) 431-81-40

W miejskim autobusie przysiadł się do mnie starszy mężczyzna. Czy panu też czas tak szybko leci? – zapytał. – Dopiero był pierwszy dzień miesiąca, a jest już trzydziesty... Zanim dojechaliśmy z Północy na Błeszno, opowiedział mi całą historię swego życia. Urodził się w Częstochowie, jako siedemnastolatek pojechał do Warszawy, by w hufcu Służby Polsce odbudowywać stolicę. W wolnych chwilach trenował boks. U Stamma – pochwalił się. – Pan wie, kto to był Stamm? Przy odbudowie Warszawy pracował łopata. Praca była ciężka, ale był młody i silny. Boksował, potem zaczął się uczyć. - Patrzyłem, jak rośnie nasza stolica. Za biurkiem posadzili mnie dopiero, jak zdałem maturę. I tak już zostało, do emerytury. A na emeryturze nie miałem co robić. Wziąłem żonę i wróciliśmy do mojego rodzinnego miasta. To już dziesięć lat będzie. Chodzę sobie teraz i patrzę, jak zmienia się Częstochowa. Panu się podoba nasze miasto?

Spotykamy ich codziennie. Na ulicy, w tramwaju, w sklepie, w parku. Starsi mieszkańcy naszego miasta. Są jego teraźniejszością, są też i jego historią. Miejscowi, którzy byli tu zawsze. Przyjezdni, którzy zapuścili korzenie. Emigranci do innych miast i krajów, którzy powrócili na ojczyznę łono. Chodzą teraz ulicami, siedzą na ławeczkach w parku i patrzą na miasto.

Nosiciele historii i pamięci. My, młodszy, zabiegani, zajęci swoimi sprawach, rzadko mamy czas (i ochotę), żeby ich wysłuchać. Rzadko mamy potrzebę i okazję, żeby w jakikolwiek sposób utrwalić to, co mogliby nam powiedzieć. Rzadziej jeszcze przychodzi nam do głowy, żeby ich zasługi zapisać dla następców, na obelisku lub pamiątkowej tablicy.

Tysiące mieszkańców, tysiące losów, tysiące śladów naszej historii i tradycji w mieście, wartych zapamiętania a często i pomnika.

Niektórymi się szcycimy. Mówimy o nich mieszkańcom innych miast, gdy nas odwiedzają, i mówimy nam samym. Halina Poświatowska, to ona jest z Częstochowy? – można usłyszeć w III Alei, gdzie turyści i pielgrzymi tak chętnie fotografują się na ławeczce – pomniku poetki.

Takie pomniki to moda ostatnich lat, nie tylko polska zresztą. Dziś nie ma chyba miasta, które w ten sposób nie czciłoby swoich współobywateli. Nie chodzi tylko o atrakcję dla turystów, czasem taki pomnik jest punktem wyjścia dla dowiedzenia się czegoś o przedstawionej osobie a przez to i o samym mieście.

Atrakcja i promocja. Sypnęło więc wszędzie pomnikami artystów, charakterystycznych postaci, bohaterów historii, bajkowych stworów. Nieważne, że nikt nie pamięta, kto jest autorem rzeźby. Artyście musi wystarczyć świadomość popularności jego pracy i jej przydatność dla miasta. Nieważne, kto wpadł na pomysł, kto zaprojektował, kto wystawił. Ważne, że Piotr Skrzynecki siedzi na krakowskim rynku, Tuwim na Piotrkowskiej w Łodzi, krasnale hasają we Wrocławiu itd.

Czyj pomnik stanie jeszcze w Częstochowie. Kto jeszcze powinien „zbrązowieć” w naszym mieście?

„Niedźwiadek”-Okulicki? Kmicic w okolicach Jasnej Góry? Marek Perepeczko w okolicach teatru, Bronisław Hubermann koło filharmonii?

Co wiemy o własnej historii? Ile z naszej tradycji i naszej legendy chcemy przekazać młodszym mieszkańcom Częstochowy, innym miastom?

Czas tak szybko upływa...

*Marian Piotr Rawinis*

## Szkoła tworzenia

Z Iwoną Maciejowską  
dyrektorem „Plastyka”  
rozmawia Marian Panek

*Jesteś dyrektorem Zespołu Szkół Plastycznych im. Jacka Malczewskiego, czyli dawnego Plastyka. Kontynuujesz sześćdziesięcioletnią tradycję nauczania w tej szkole. Co się zmieniło w ciągu lat Twojej pracy?*

Kieruję szkołą od 1997 roku. Wiele się w tym czasie zmieniło, chociaż staramy się, by szkieletem naszego funkcjonowania była dobrze pojęta tradycja. Czyli nie jesteśmy rewolucjonistami, ale raczej kontynuatorami tej tradycji: dobrych obyczajów, reguł, także nauczania i współżycia w gronie nauczycieli, uczniów i absolwentów szkoły. To są podstawowe generalia. Przechodząc jednak do konkretów, to po pierwsze, w ostatnim dziesięcioleciu zmieniła się zasadnicza sprawa: struktura szkół, a to ma związek z reformą szkolnictwa w Polsce w ogóle. Powołane zostały dwa zasadnicze typy: Ogólnokształcąca Szkoła Sztuk Pięknych, sześcioletnia, druga czteroletnia – Liceum Plastyczne. Razem tworzy to Zespół Szkół Plastycznych im. Jacka Malczewskiego. Udało nam się otworzyć trzeci kierunek. Od września 1998 roku mamy, oprócz dotychczasowych, Jubilerstwa i Ceramiki, powołany przez Ministra Kultury i Sztuki po naszym wniosku, jako jedyny wówczas w Polsce, nowatorski kierunek Grafika użytkowa – formy wydawnicze. Istnieje on do dzisiaj, daje bardzo dobre rezultaty, wspaniałe efekty edukacyjne i zawodowe. Nasi absolwenci tego nowego kierunku na ogół studiują na akademiach na grafice lub innych kierunkach dizajnowskich, ale też każdorocznie są pożądanymi przez firmy reklamowe. Mamy szeroką i różnorodną współpracę międzynarodową. Od 1999 roku jesteśmy w unijnym programie Leonardo da Vinci. Jest to program edukacyjny i jednocześnie nastawiony na szkolnictwo zawodowe. Nasi uczniowie wyjeżdżają każdorocznie, bowiem składamy projekty i zawsze je wygrywamy. Nie mieliśmy jeszcze przypadku odrzucenia. Do tej pory trzystu dwudziestu uczniów ma za sobą staż międzynarodowy i certyfikaty unijne. Za certyfikatem idzie legitymacja europejska, nazywa się europa-pass. Jest to legitymacja zawodowa potwierdzająca poszerzenie kwalifikacji. Ułatwia zdobycie pracy w systemie unijnym. Poza uczniami wyjeżdżają także nauczyciele w ramach tego samego programu. To jest dla nas szalenie wzmacniające – to jest wymiana doświadczeń, programów, możliwości przenoszenia zdobyczy technologicznych stamtąd do nas, a nasi



Fot. Leszek Pilichowski

koledzy wzmacniające naszych partnerów europejskich o swoje doświadczenie edukacyjne. Nasz system jest wysoko oceniany, bowiem łączy kształcenie artystyczne z kształceniem ogólnym.

*Z jakimi państwami i szkołami Plastyk współpracuje?*

Z Portugalią, Włochami, Francją, Niemcami. Mamy tam kilka miejsc, np. w Niemczech w Stuttgartarcie, Pforzheim, Drendhausen, Monachium, we Francji w Antibes, Tarbes, gdzie jest to nawet szkoła wyższa, we Włoszech mamy partnerów w Cesaro, Urbino i w Maceracie, a w Portugalii Caldas da Rainha. Ostatnio mamy kontakty z nowym partnerem w Cordobie w Hiszpanii.

*W tamtym roku odbyły się uroczystości związane z sześćdziesięcioleciem Plastyka. Co ciekawego się zdarzyło?*

To była bardzo poważna rocznica, bo sześćdziesiąt lat mając, należymy do szkół najstarszych. Idea tych szkół artystycznych jest autorstwa Karola Szymanowskiego i pochodzi z lat trzydziestych ubiegłego wieku. Po drugiej wojnie światowej powstawały szkoły plastyczne i muzyczne. Nasza należy do najstarszych, więc chcieliśmy i musieliśmy naszą uro-

czystość celebrować w sposób wyjątkowy, z udziałem także Ministerstwa Kultury, pana wiceministra i dyrektora departamentu, gości z akademii sztuk pięknych, którzy od dziesięciu lat są naszymi konsultantami z Katowic, Krakowa, Warszawy, Wrocławia i Łodzi. Byli również goście z zagranicy, którzy są naszymi partnerami w programie Leonardo. Mieliśmy również wielu ważnych przedstawicieli instytucji kulturowych i artystycznych z naszego miasta i województwa, ale także z Polski. Mieliśmy gości ze Stanów Zjednoczonych, Niemiec i Włoch, którzy tam organizują wystawy prac naszych uczniów. Dzięki tym wszystkim gościom ta uroczystość nabrała bardzo poważnego charakteru. Zasadniczą jej część odbyła się w Częstochowskiej Filharmonii. Zaprosiła nas tutaj dyrektor Beata Młynarczyk. Sama prowadziła uroczystość jako konferansjer w towarzystwie dyrektora Muzeum, pana Janusza Jadczyka. Wręczono wiele ważnych nagród i odznaczeń państwowych i ministerialnych. Były wspomnienia, dobra muzyka, scenografia i wystawa sześćdziesięciu dzieł na sześćdziesięciolecie – to jest już pewna tradycja od pięćdziesięciolecia szkoły – przekazali swoje prace na rzecz szkoły nasi absolwenci, ale także nasi przyjaciele, i stąd mamy możliwość takiej wystawy. Był także otwarty bankiet dla publiczności zgromadzonej w sali filharmonii, dla zaproszonych gości, nauczycieli, uczniów szkoły, ich rodziców i sympatyków. Była też wyjątkowa wystawa memorialna w Muzeum Częstochowskim i moment szczególny, ponieważ znalazły się na niej prace tych absolwentów i nauczycieli, którzy nie żyją, a wielu z nich należy do czołówek polskich artystów, jak np. Jerzy Duda-Gracz. Potem był wieczór dla gości zewnętrznych, wieczór w Muzeum Wyobraźni u Tomka Sętowskiego, uroczysta kolacja, muzyka i sztuka. Natomiast drugiego dnia od rana spotykaliśmy się na terenie szkoły z absolwentami. Oni konsekwentnie rejestrowali się, odbierali jubileuszowy katalog i inne gadżety. Stąd po kilku godzinach wyruszyliśmy autokarami do Złotego Potoku i w bardzo pięknym miejscu w ujeżdżalni koni mieliśmy noc i bal absolwentów. On właściwie zamknął uroczystości, choć jeszcze raz spotkaliśmy się nazajutrz na jasnogórskiej mszy.

*Rozmawiamy w gorącym czasie wystaw dyplomowych i egzaminów maturalnych. Jaka jest obecna młodzież, czym różni się od tej dawnej, sprzed dziesięciu czy dwudziestu lat? Jakie są innowacje w kształceniu?*

Obserwujemy z nauczycielami pewne zmiany osobowościowe. To jest normalne. Czasy współczesne są takie, że młodzi ludzie są bombardowani tak wielką ilością informacji i tak wiele mają propozycji

od świata, nie tylko artystycznych, że jest o wiele trudniej z nimi pracować, niż kiedyś w przeszłości. Obserwujemy zasadniczą różnicę w klasach maturalnych. Uważamy, że dawniejsi absolwenci byli bardziej dojrzałymi, dokonywali zdecydowanie więcej bardzo samodzielnych, konsekwentnych na ogół wyborów – myślę nie tylko o studiach, ale również o etapie dyplomów. Była bardziej, powiedzmy, na poziomie akademickim, myślę tutaj przede wszystkim o komunikacji interpersonalnej. W tej chwili nasi wychowankowie są młodsi duchowo, młodsi osobowościowo, troszkę mniej dojrzałymi. Takie mamy obserwacje, takie wrażenia, opinie, ale jednocześnie są to ludzie niezwykle twórczy i mają w kreowaniu artystycznym bardzo dobre rezultaty. Poza minimalną edukacją, nasi uczniowie są ciągle uczestnikami wielu konkursów ogólnopolskich. My sami jako szkoła jesteśmy organizatorami kilku takich konkursów, które są pod egidą Ministerstwa Kultury. Są one bardzo poważnie traktowane. W związku z tymi konkursami nasi młodzi uczniowie zmierzają się stale ze światem. Tak więc ćwiczą te swoje umiejętności podwójnie, nie tylko na lekcjach, ale w trybie konkursowym, otwartym. Mamy wiele sukcesów, wiele nagród w poważnych konkursach ministerialnych i międzynarodowych. Wielokrotnie przekazujemy prace na wystawy ogólnopolskie i wystawy światowe. W tej chwili nasza wystawa, związana z inspiracjami kulturą żydowską, a zaproponowana ministerstwu od listopada 2005 roku, wędruje po Stanach Zjednoczonych. Te wszystkie doświadczenia, sukcesy i nagrody, i te wszystkie nobilitujące sytuacje powodują, że prace dyplomowe na naszych trzech kierunkach są na coraz to wyższym poziomie. Są to nie tylko nasze wewnętrzne opinie, ale także opinie ministerialne i przede wszystkim obserwatorów akademickich, którzy od 1998 roku konsekwentnie uczestniczą w egzaminie dyplomowym. Wyróżniają oni uczniów za nadzwyczajne artystyczne prace. Pewne zmiany powodowane są reformą i rozporządzeniami ministra. Zasadnicza zmiana polega na tym, że dyplom już od czterech lat jest połączeniem pracy kierunkowej, czyli pracy graficznej, ceramicznej, jubilerskiej, z malarstwem i rysunkiem. Uczeń jest zobowiązany do przedstawienia tych trzech elementów na dyplomie. Zobowiązany jest do prezentacji indywidualnej, do komentarza autorskiego. To powoduje lepsze przygotowanie do studiów akademickich. Utrzymywana jest również zasada egzaminu z historii sztuki na dyplomie. Nasi absolwenci studiuje na akademiach różne kierunki. Zdają też na politechniczną architekturę, studia menażerskie czy językowe, studiuje za granicą, w Anglii, Italii, Niemczech i Czechach.

*Szkoła ma wiele sukcesów. Jesteś ich współtwórcą. Proszę, przybliż ich jakość i znaczenie dla naszego*





Fot. Leszek Piłichowski

*miasta, dla szeroko pojętego środowiska twórczego w Częstochowie.*

Jest to pewna oczywistość ważności naszego usytuowania w mieście. Nie jest to jednak prosta odpowiedź na twoje pytanie. Na nasze ulokowanie i znaczenie w mieście składa się wiele czynników, między innymi tradycja. Tak się złożyło historycznie, że to właśnie absolwenci Liceum Plastycznego od dawna, od kilkudziesięciu lat, stanowią elitę kulturalną miasta. Lokują się np. w Akademii Jana Długosza, w instytucjach kulturowych. Są zdecydowanie nie tylko twórcami czynnymi, ale również animatorami kultury. I jeśli ktoś w Częstochowie znaczy coś w kulturze, był, jest albo będzie z Plastyka. To powtarzam z uporem maniaka, bo dane statystyczne to potwierdzają. Utrzymujemy bardzo dobre, aktywne kontakty z władzami miasta, z instytucjami kulturalnymi, z którymi współpracujemy nie tylko dlatego, że staramy się o nasze wystawy tam, a nasi absolwenci zaangażowani są w różne projekty realizowane przez te instytucje. Ja sama zostałam powołana do Rady ds. Kultury przez pana prezydenta Tadeusza Wrone, do kolejnej zresztą kadencji tej rady. Moi koledzy uczestniczą również w różnych poważnych gremiach artystycznych powoływanych przez

Wydział Kultury czy instytucje takie jak muzeum miejskie, galeria miejska, ZPAP, „Gaude Mater” czy wreszcie w nowo zawiązanej Zachęcie. To są miejsca ważne, spektakularne, bo one czynią kulturę w tym mieście. Mamy więc nobilitującą pozycję. My, to znaczy środowisko wywodzące się z naszej szkoły i będące w niej aktualnie.

*Plastyk zmienia się z roku na rok, mimo ciągłości tradycji kształcenia młodzieży. Jak widzisz swoją szkołę w przyszłości? Czy masz pomysły na dalszy jej rozwój?*

Oczywiście, że tak, to wynika z mojej osobowości, jak również z aktywności moich współpracowników, szczególnie tych należących do rady artystycznej szkoły. Mamy nie tylko wizję, ale przede wszystkim plany, oraz czynimy konkretne działania, które zmierzają do poszerzenia naszej działalności i rozwoju szkoły na przyszłość. Początek temu wszystkiemu da oczywiście rozbudowa Plastyka. Starania rozpoczęliśmy już kilka lat temu, ale one musiały być zatrzymane ze względów od nas niezależnych, to znaczy na podział i dysponowanie środkami unijnymi na takie cele. W tej chwili jednak, w perspektywie pół roku, zamknięte zostaną wszystkie sprawy proceduralne i wszelkie inne formalności, na mocy których za pośrednictwem Ministerstwa Kultury rozpoczniemy budowę szkoły. Mamy takie wrażenie, że to będzie bardzo ważny moment dla historii szkoły i element sprawczy dla jej rozwoju i realizacji wszelkich naszych planów. Rozbudowana szkoła będzie miała trzy razy taką kubaturę jak obecnie. Będzie zajmowała prawie całą działkę, na której obecnie istnieje, a która jest własnością skarbu państwa. Będzie miała kilka dodanych aneksów w ramach projektu architektonicznego, który ma charakter zabudowy klasztornej, dośrodkowej. Takich aneksów, jak np. osobna część dla ceramiki i rzeźby, osobna dla sali gimnastycznej i przyległości, część ekspozycyjna, dwupoziomowa z antresolą, bardzo pięknie wyglądająca na projekcie, a nad nią w bardzo spektakularnym miejscu są umieszczone sale malarskie i graficzne, wysoko wyspecjalizowane, ze wszystkimi urządzeniami i górnym naturalnym światłem. W związku z rozbudową wyodrębnione będą w logicznym architektonicznym ciągu sale do kształcenia ogólnego, również do języków obcych, oraz pracownie kierunkowe, czyli jubilerskie, ceramiczne, fotograficzne. Będzie również świetnie wyposażona aula ze sceną, bowiem w naszej szkole istnieje dobrze zorganizowany od jedenastu lat zespół teatralny, który pracuje w kilku grupach uczniowskich. Odnosi on sukcesy i w Polsce, i za granicą. Trzy lata temu w Marsylii na europejskim festiwalu zdobyliśmy nagrodę czołową. Aula będzie wyposażona multimedialnie. W związku z galerią będziemy mogli również przyjmować wy-

stawy zewnętrzne artystów, którzy są absolwentami, wybitnych artystów z kraju, jak również z tych ośrodków poza granicami, z którymi mamy kontakty. Będziemy realizować zajęcia seminaryjne i zapraszać na nie wykładowców ze świata nauki, ze świata kultury, niezwykle wyjątkowe i bogate osobistości. W ten sposób rozumiemy, że będziemy dodatkowo kształcić, rozwijać i wychowywać naszą młodzież. Mamy też chęć poszerzenia naszej oferty edukacyjnej, nie tylko kulturowej. Jesteśmy przecież nie tylko szkołą, ale instytucją kulturową, choć niesformalizowaną, ale działającą kulturotwórczo. Po tej rozbudowie rozważamy założenie również studium podyplomowego.

*Jesteś z wykształcenia historykiem sztuki. Ukończyłaś Akademię Teologii Katolickiej, obecny Uniwersytet im. Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Kto z Twoich nauczycieli akademickich pozostał dla Ciebie do dzisiaj autorytetem?*

Miałam szczęście studiować na tej uczelni, kiedy pracował ksiądz profesor Janusz Pasierb. Był – nie żyje, niestety – nie tylko historykiem sztuki, ale filozofem, teologiem, poetą wreszcie. Bardzo wyjątkowy człowiek, niezwykle wielkiej skali intelektualista, erudyta znany w świecie powszechnie, profesor kilku uniwersytetów europejskich i amerykańskich. Osoba

znana na salonach europejskich. Utkwił mi w pamięci, nie tylko zresztą mnie ale i moim kolegom z tych czasów, jako wybitny naukowiec, wybitna umysłowość, ale także jako człowiek niezwykle urokliwy. Piękny mężczyzna, bogaty duchowo i poeta. Bardzo go szanowaliśmy. Bardzo go uwielbiliśmy i pozostał takim najbardziej spektakularnym autorytetem. Poza nim wspomnę o profesorze Kazimierzu Michałowskim. On zresztą zakładał Katedrę Archeologii na mojej uczelni. Prowadził zajęcia dla historyków sztuki ze starożytności. Pan profesor Andrzej Olszewski, wybitny znawca sztuki nowoczesnej, którego również uwielbiliśmy. Żyje do dzisiaj i prowadzi nadal zajęcia. Dał nam wiele wiedzy analitycznej na temat sztuki XX wieku. Człowiek bardzo interesujący, bardzo przyjazny, sympatyczny, towarzyski. Prof. Dobrzeńcki, wielki znawca światowej rangi sztuki średniowiecznej. Prof. Jan Białostocki, który także miał z nami zajęcia z teorii sztuki, ikonografii. To są wielkie autorytety i trudno właściwie dyskutować nawet o nich. Pozostawiam też zawsze w ciepłej pamięci panią prof. Teresę Grzybkowską, która nadal specjalizuje się w malarstwie nowożytnym. Przeprowadziła ona między innymi dogłębną analizę ikonograficzną twórczości Jacka Malczewskiego, co było również powodem do częstych spotkań, kiedy zaczęłam pracować w naszej szkole. Była kilkakrotnie u nas, będąc przewodniczącą jury konkursów związanych z twórczością Jacka Malczewskiego.



Fot. Leszek Pilichowski

*Co się działo w Warszawie, kiedy tam studiowałaś?*

Były to lata na granicy między hipisowaniem a takim złąknionym potrzebą sztuki sposobem na życie. Poza dogłębnym studiowaniem wiele się działo w moim świątku towarzyskim. Mieliliśmy łaknienie na intelektualizowanie się i wielkie, wielkie łaknienie na sztukę. Hulaliśmy od Jazz Jamboree, poprzez Jazz nad Odrą, po różne festiwale filmowe, które wtedy należały do wyjątkowych w Polsce i dostać się tam było wielkim sukcesem, ale my zawsze bywaliliśmy. Chodziliśmy na wernisaże wystaw plastycznych. Muszę powiedzieć, że miałam szczęście bywać w dobrym towarzystwie. W mojej akademii mówiło się dość powszechnie, że studiuje tutaj najwięcej niedobitków polskiej arystokracji, wolnomyślicieli, ludzi z lekka hipisujących oraz dysydentów. Więc do moich przyjaciół należeli także ci, którzy potem byli poważnymi opozycjonistami, a po 1990 roku znaleźli się w sferach rządowych, parlamentarnych. To jest również taka mała moja satysfakcja. Np. Maciej Grzywaczewski stał się jednym z sekretarzy Wałęsy, Antek Pawlak związał się z „Gazetą Wyborczą”.

*Napisałaś wiele tekstów krytycznych o sztuce. Jakich rad byś udzieliła młodym osobom starającym się pisać o sztuce?*

Piszę ostatnio niedużo, wyjątkowo mało i w wyjątkowych sytuacjach. Musiałam zrezygnować z tekstów o Marianie Koniecznym i profesorze Chromym, ale może do nich powrócę, kiedy pojawi się możliwość zrealizowania wydań książkowych o tych artystach. Sporo mam tekstów na swoim koncie, dochodzi do setki. Pisałam z tobą teksty o Hasiorze, o innych rzeźbiarzach i artystach. Pisałam także do albumu „Polscy surrealiści” twojego autorstwa. Teraz piszę znacznie mniej, ale mam oczywiście własne widzenie sprawy. Takie przede wszystkim, że wolałabym, czytając niekiedy teksty kolegów w Polsce, aby miały jednak charakter nie dziennikarski, tylko analizy artystycznej. Co znaczy, teksty te muszą wynikać z wiedzy, z kwalifikacji oraz dobrego warsztatu zawodowego piszącego. Poza tym lubię, kiedy w tekstach krytycznych dokonuje się analizy porównawczej, jeżeli się odnosi do ewentualnych inspiracji czy związków estetycznych i artystycznych. To daje pewne pojęcie czytającemu czy oglądającemu, który często jest nieprzygotowany, nawet jeśli jest koneserem oglądactwa czy zbieractwa sztuki. Poza tym najważniejsza jest uczciwość. Tak jest często, że piszą o sztuce, o artyście ludzie, którzy lubią jego sztukę, są z nim zaprzyjaźnieni. To wywołuje jednoznaczny pozycję i postawę krytyka i zwykle jest to tak, że mówi się tylko o pozytywach. Można przecież użyć

dobrego języka i rozważać, niekoniecznie w kategoriach tylko i wyłącznie aplauzu. Najważniejsza jest za tym mądra analiza oparta o wiedzę krytyka oraz właśnie uczciwość wobec artysty i odbiorcy sztuki. Czyli, inaczej mówiąc, nie należy podtrzymywać takiej aury hochsztaplerstwa w sztuce poprzez krytykę artystyczną. Nie należy wzmacniać artystów w ten sposób, artystów którzy, nierzadko bywa niestety, są hochsztaplerami.

*Jakie warunki musiałyby zaistnieć w Częstochowie, by stała się ona miastem sztuki, miastem przyjaznym dla artystów?*

To bardzo złożona sprawa. To problem, który od wielu lat rozważam z moimi przyjaciółmi, co najmniej od ćwierć wieku. Zaczyna się ten problem od tego, czy lubimy nasze miasto, czy chcemy w nim być, czy mamy szansę robienia tego, co pragniemy. Czy mamy szansę na spełnienie swoich oczekiwań. Tu się zaczyna cały problem. Czyli, mówiąc najprościej, z jednej strony potrzebne są dobre warunki administracyjne, organizacyjne, czego nadal wszyscy oczekujemy i pewnie jeszcze długo nie będzie inaczej. I pewnie nigdy nie będzie tak, żeby sztuka i artysta był zdany tylko na siebie. Musi mieć swoje odpowiednie miejsca do pracy i miejsca, gdzie mógłby się pokazywać. Oczywiście w naszym mieście jest dobra atmosfera wokół tej sprawy – sprzyja kulturze i sztuce prezydent, wydział kultury. Możliwości są jednak ograniczone poprzez finanse i to jest polska oczywistość. Będzie inaczej, jeśli decyzje i pragnienia władz miasta będą wspierać donatorzy, ale do tego wymagane są zmiany ustawowe, czyli takie jak w Stanach Zjednoczonych, które to przepisy są najlepsze na świecie, gdzie bogaty człowiek kochający sztukę, ewentualny kolekcjoner, może z własnej woli oddać część majątku w postaci części podatku na rzecz konkretnego artysty, konkretnej inicjatywy. Z drugiej strony, cała rzecz dotyczy ludzi. Obecnie jest dość szerokie środowisko artystyczne, ale jak obserwuję, nie jest ono dość dobrze zorganizowane, nie jest skupione. Mamy nadzieję, że miejscami tych skupień stanie się Zachęta czy odradzający się Klub Stowarzyszeń Twórczych. Trzeba mieć też pragnienie, żeby bywać ze sobą, aby kształtować się wzajemnie, tworzyć dobrą atmosferę, przyjazną, niesklócającą, mobilizującą do tworzenia. Jest to naturalne, a że jest naturalne, decyduje o czasie tworzenia się takich środowisk. Myślę, że musi upłynąć trochę lat. Chciałabym, żeby było ich niewiele, mniej niż dziesięć. Może posługując się Biblią, na ogół bywa, że musi upłynąć czterdzieści moich lat, aby się coś ukształtowało, przeobraziło, zreformowało i odrodziło.

*Dziękuję za rozmowę*



## Epitafium dla Zachęty

*Ten tytuł wymyślił prezes Piotr Głowacki, rozsyłając przed kilkoma tygodniami list z błaganem o ratunek dla Regionalnego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Częstochowie.*

Przypomnijmy, co to takiego ta cała Zachęta. To stowarzyszenie, zawiazane w 2004 roku przez artystów i twórców częstochowskich (oraz jednego krytyka sztuki), a zainicjowane przez Ministerstwo Kultury w ramach programu „Znaki czasu”. Statutowym celem stowarzyszenia jest organizowanie wystaw i koncertów, zwłaszcza obejmujących sztukę najnowszą, słabo reprezentowaną w szacownych instytucjach kulturalnych miasta; siedzibą dawna Konduktorownia przy ul. Piłsudskiego, wyremontowana za gminne, samorządowe pieniądze.

W ubiegłym roku, wraz z objęciem Konduktorni przez Zachęte, spełnił się sen częstochowskiego środowiska artystycznego: wystawy, koncerty, wernisaże, prezentacje. Bezustanne święto sztuki w świątyni sztuki.

Rychło jednak okazało się, że to tylko pozory. Zachęta ledwie zipie. Nie ma pieniędzy nie tylko na kolejne imprezy, ale nawet na utrzymanie siedziby. Miasto nie może dotować funkcjonowania Zachęty, ponieważ ta nie jest instytucją samorządową, a sponsorów nie widać.

Gwiazdą pierwszej wielkości jest w Zachęcie niewątpliwie jej prezes. Ma pieczętkę, telefon, telefon komórkowy z ustawionym podpisem do sms-ów (Piotr Głowacki prezes Zachęty) i silne przekonanie, że Towarzystwo to on sam. Daje mu wyraz jako niestrudzony epistolograf, zasypując świat wiadomościami o sukcesach Zachęty. Standardowa informacja od prezesa brzmi: ja i tylko ja zorganizowałem wystawę X, ja i tylko ja zdobyłem fundusze od Y, ja i tylko ja umyłem wczoraj podłogę.



Fot. Leszek Pilichowski

Ostatnio prezes zażądał wzięcia Zachęty na miejski garnuszek i zastosowanie do niej takich samych reguł, jak do teatru, filharmonii czy muzeum. Miasto się nie kwapi, zasłaniając się brakiem wolnych środków finansowych.

Niestety, zasługi prezesa Głowackiego nie znajdują uznania w oczach decydentów (oraz zwykłych obywateli Częstochowy). Nie otrzymał dotąd żadnego orderu, nie rozpisano konkursu na projekt jego pomnika, istnieją natomiast – każdy to widzi – wymierzone w jego osobę spiski, zmowy i sprzysiężenia.

Dość tego – powiedział któregoś dnia prezes i zwołał na 22 sierpnia Nadzwyczajne Walne Zebranie, zapowiadając poddanie pod głosowanie wniosku o samorozwiązanie Towarzystwa.

**Marian P. Rawinis**  
*członek Zachęty, jeden z jej „ojców-założycieli”*



Fot. Leszek Pilichowski

P.S. Z uwagi na bujną działalność prezesa Zachęty i wymowę merytoryczną jego epistolografii, bardziej poprawny tytuł jego listów powinien brzmieć: Epitafium...

# NOC KULTURALNA



# NOC KULTURALNA





## Triennale Sztuki Najnowszej

Marian Panek

6 czerwca Regionalne Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych w Częstochowie otworzyło w Konduktorowni pierwszą wystawę z cyklu trzech wystaw składających się na całość Triennale Sztuki Najnowszej. Kuratorem tej prezentacji jest Piotr Głowacki, krytyk sztuki, a zarazem pracownik merytoryczny Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie oraz prezes Zachęty w naszym mieście. Zaprezentował on trzech bardzo różnych artystów wypowiadających się też w trzech odmiennych dziedzinach sztuki.

**Lech Majewski** pokazał wideoart pt. „Krew Poety”, składający się z pięciu krótkich filmów z tego cyklu, które były wyświetlane równocześnie wielkoformatowo na ścianach największej sali Konduktorowni. Majewski jest artystą uznanym na całym świecie. Jego wideoarty pokazywały najważniejsze muzea i galerie. W 2006 roku nowojorskie Museum of Modern Art zaprezentowało dokonania artysty, organizując mu indywidualną retrospektywę, która została przeniesiona do Galerii Narodowej w Waszyngtonie, Berkeley Art Museum, Art Institute of Chicago, Portland Art Gallery, Wexnor(?) Center for the Arts w Cleveland oraz Seattle Art Museum. Cykl wideoartów „Krew Poety” w lutym 2007 zobaczyli uczestnicy Festiwalu Filmowego w Berlinie, a w czerwcu tego samego roku instalacja stała się częścią polskiej prezentacji na Biennale w Wenecji.

Majewski we właściwy sobie poetycki sposób kreuje filmowe obrazy na pograniczu snu i jawy. Posługuje się językiem sztuki mającym swoje źródło w surrealizmie, językiem utkany z misternie przygotowanych kadrów-obrazów. Wizualizuje w swych pracach niezagospodarowane przestrzenie i obrazy psychiki współczesnego człowieka: fascynacje, obsesje, fobie, kulturowe uwikłania w przemoc i ideowe frustracje. Odwołując się również do kulturowych archetypów i symboli, podejmuje uniwersalne tematy związane z bytem każdego przeciętnego człowieka, jak zwyczajne lęki, pasje czy życiowe udręki.

Majewski przygotowuje się długo do każdej ekranizacji scenariusza, która jest wykonywana wraz z wieloosobową ekipą, a potem opracowywana w swoisty sposób laboratoryjnie i montażowo.

Charakterystyczne dla niego jest dopracowanie każdego fragmentu struktury kadru i jego kompozycji, zwłaszcza w znaczeniu szczegółu w całości.

Drugim prezentowanym artystą jest malarz polskiego pochodzenia **Michał Paryżski**, obecnie zamieszkujący w Szwecji, w Sztokholmie. Obrazy Paryżskiego są wykrystalizowaną strukturą składającą się z nałożonych na siebie wielu kolorystycznych płaszczyzn, jakby zasłon, tworzących tak zwaną przestrzeń teleskopową, którą możemy rozwijać w naszej wyobraźni bądź ją spłaszczyć. Twórca stworzył własny wyjątkowy system kreowania płaszczyzny – jest to matematycznie opracowany zbiór wszystkich niewiadomych, to znaczy linii prostych, których przebieg na płaszczyźnie może ją w każdy możliwy sposób opracować. Ten właśnie system stał się punktem wyjścia w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku do dzisiejszego malarstwa Michała Paryżskiego. Płótna są kompozycyjnie wewnętrznie rozwibrowane. Płaszczyzny obrazów pulsują kolorem zatopionym w różnych odmianach temperaturowych czerni. Malarstwo to, zbliżone ideowo do minimal artu, ma w sobie również pewne cechy i echa dawnego impresjonistycznego malarskiego myślenia, jest realizowane w modułowo przyjętym kwadracie, jako podstawowym formacie do tak opracowanych i konsekwentnie realizowanych twórczych zasad, kreowania malarskiego rastra jakby sita dla naszej wyobraźni czy nośnika dla naszych „klisz pamięciowych”.

Trzeci artysta to **Tomasz Bajer**. Urodził się w Częstochowie, studiował na Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu, którą ukończył w 1997 w pracowni prof. Konrada Jarodzkiego. Tomasz Bajer zaprosił nas do obejrzenia artystycznego projektu powiązanego z jego nazwiskiem i logiem znanej firmy farmaceutycznej Bayer, związanej nie tylko z produkcją aspiryny, ale również w czasie II wojny światowej z wytwarzania Cyklonu B, stosowanego do uśmiercania ludzi w komorach gazowych. Artystyczna przestrzeń działalności Tomasza Bajera to przede wszystkim sztuka pojęciowa, language art, instalacja, akcjonizm, multimedia i malarstwo. Interesuje się on również przebiegiem procesu tworzenia i dekonstrukcji tożsamości nie tylko jednostki, ale także całych społeczności. Instalacje obiekty Bajera mają różnorodne kulturowe podteksty, są jego krytycznym głosem wobec zaniedbań kulturowych, społecznych czy przywodzą na myśl działalność dadaistów, a zwłaszcza Marcela Duchampa w operowaniu i nadawaniu przedmiotom nowych znaczeń w polu sztuki. Działalnością artystyczną Tomasza Bajera opiekuje się i wzmacnia ją

Agnieszka Kłos, która na wernisażu wystawy dała miniwywiad zawierający podstawowe znaczenie i charakterystykę twórczości artysty.

Wieczorem tego samego dnia, po zachodzie słońca, wyjechał z parkingu Konduktorowni **Yapper**, niezależna mobilna galeria objazdowego kina alternatywnego, z własnym źródłem zasilania i sprzętem nagłaśniającym. Obiekt został zrealizowany wspólnie z Jerzym Koszałką i przypomina kształtem monstrualny głośnik. Według artystów, Yapper jest współczesną liberalną platformą wymiany i prezentacji różnorodnych postaw twórczych. Każdy może prezentować własne dokonania wideoartu czy krótkich form filmowych zapisanych cyfrowo. Obiekt-pojazd przejechał ulicą Piłsudskiego, zatrzymując się kilkakrotnie w alejach NMP, docierając aż w okolice Muzeum Pielgrzymowania i prezentując kilkanaście wideoartów i filmów animowanych. Komentarzom młodych widzów, uczestników pokazów tej niecodziennej galerii, nie było końca. Tłumnie odprowadzili oni Yappera do Konduktorowni.



Fot. Leszek Piłichowski



Fot. Leszek Piłichowski

## Druga odsłona Triennale - Gender w polskiej sztuce współczesnej

Kuratorem drugiej wystaw z cyklu Triennale Sztuki Nowoczesnej jest Altea Leszczyńska, która przedstawiła interesujący scenariusz prezentacji, zaakceptowany przez Radę Programową Triennale. Artyści biorący w niej udział to: Anna Baumgart (wideoart), Agnieszka Berezowska (grafika), Marcin Cziomer (grafika), Katarzyna Górna (wideoart), Zuzanna Janin (wideoart), Małgorzata Malwina Niespodziewana (obiekty), Artur Malewski (murale), Anna Orlikowska (wideoart), Marta Pszonak (rzeźba), Daniel Rumiancew (wideoart), Agata Zbylut (fotografia), Alicja Żebrowska (fotografia, wideoart). Wystawę poprzedziło spotkanie autorskie z Anną Baumgart pt. „Jak tresowane dziewczynki robią filmy o miłości”, które zgromadziło kilkunastu zwolenników i przeciwników jej twórczości. Pokazy wideoartu przeplatane były ożywioną dyskusją. Sam wernisaż zgromadził już tłumnie przybyłych gości. Autorka wystawy spróbowała przybliżyć najważniejsze pryncypia sztuki gender, jej źródła osadzone również w literaturze: Simone de Beauvoir (Druga płeć), Judith Butler (Gender Trouble). Wystawa stara się pokazać ważne artystyczne dokonania powiązane z samymi przemianami w sztuce, jak również zachodzące w obecnej współczesnej obyczajowości społecznej. Drugi pokaz Triennale ma kilka interesujących wątków, między innymi

prezentuje fizyczność w sztuce, nie tylko związaną z seksualnością czy atrakcyjnością fizyczną (Alicja Żebrowska, Katarzyna Górna, Agata Zbylut). Inny wątek to feminizm w sztuce. Rozpoczęty w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku przez Marię Pnińską-Bereś czy Natalię Lech-Lachowicz. Kobiety obecnie same kreują swoje wizerunki, próbują dyskutować na temat granic moralności w sztuce czy przestrzeni publicznej (Agata Zbylut, Anna Baumgart, Marta Pszonak, Zuzanna Janin).

Istotnie ważne zagadnienie zaprezentowane na tej wystawie to „Inność w sztuce”, zgłaszające pytanie o stawanie się kobietą czy rodzenie się z określoną płcią kulturową (gender). Według artystek płeć biologiczna jest faktem, płeć kulturowa to struktura płynna, zmieniająca się, stwarzająca olbrzymią ilość możliwych wcieleń (Zuzanna Janin, Anna Baumgart, Marta Pszonak, Anna Orlikowska, Małgorzata Malwina Niespodziewana). Problematyka gender rozpowszechniła się w Polsce po roku 1989, stając się ważnym zagadnieniem w obecnej sztuce współczesnej. Gender, odnosząc się do różnorodnych wzorców prezentowanych w kulturze masowej, odrzuca je i dyskutuje krytycznie z nimi, pokazując mielizny popkultury (Anna Baumgart, Katarzyna Górna). Podejmuje również inne tematy związane z przemianami społecznymi, problemami związanymi z tożsamością, ujawnia stereotypy zakodowane w życiu i sztuce (Artur Malewski, Marta Pszonak).

Tak dużego istotnego wyboru powiązanego z gender w sztuce najnowszej nie było w Polsce od dawna, trzeba więc pogratulować autorce wystawy Altei Leszczyńskiej uporu w realizacji takiej prezentacji.



Fot. Leszek Pilichowski



## Nowosielski na Jasnej Górze

Dorota Wysocka

Prace Jerzego Nowosielskiego już w Częstochowie oglądano. Po raz pierwszy jednak zobaczono te, których naturalnym środowiskiem nie są galerie i muzea, przy ocenie których też od artystycznego smaku i obycia przydatniejsze wydaje się czyste serce i wyciszona dusza. Między 15 a 31 lipca w Sali Rycerskiej jasnogórskiego klasztoru pokazywana była wystawa „Obraz nie ludzką ręką wykonany. Ikony Jerzego Nowosielskiego i archetypy”. Okazała się wielkim wydarzeniem.

Nic w tym zaskakującego, gdyż malarzowi udało się, jak niewielu artystom, za życia osiągnąć status mistrza, uznanie specjalistów i – można chyba użyć tego słowa – sławę. Jest rozpoznawalny, chętnie kupowany, choć szeroka publiczność słabo zna jego twórczość sakralną.

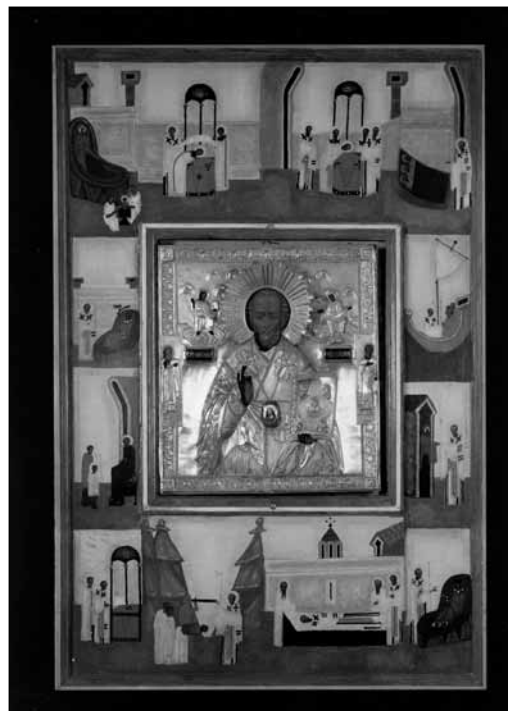
Słabo, gdyż Nowosielski, wychowany na skrzyżowaniu kultur i religii, wybrał prawosławie, w nim jest zanurzony (lecz nie zamknięty), przez jego pryzmat niezdawkowo, pędzlem i piórem, pochyla się nad sprawami wiary.

Nie zawsze jest przy tym przez współwyznawców rozumiany i doceniany. Odważne posługiwanie się formą i kolorem, tak jak na „świeckich” obrazach, ściągnęło na niego wiele oskarżeń o zbyt dalekie odejście od wzorów malarstwa ikonicznego. Twórcy wystawy, Michał Bogucki z Instytutu im. Adama Mickiewicza i Alicja Mołodecka z wałbrzyskiego BWA, gdzie ją ułożono i po raz pierwszy pokazano, wykazali jednak, że mamy do czynienia nie z malarstwem religijnym, inspirowanym ikoną, a ikoną jako taką, kanoniczną, pisaną (tak, ikony się pisze, nie maluje) w modlitewnym skupieniu. Zestawili prace Nowosielskiego – dwanaście typów przedstawień - z tytułowymi archetypami, ikonami powstałymi w minionych stuleciach. Na ich tle wyraźnie widać, że Nowosielski to nie nowator, a odnowiciel, sięgający do źródeł.

Jeszcze wyraźniej odczuć to można było na pierwszych pokazach, gdy wystawę współtworzyły ikony ukraińskie, ze lwowskich i kijowskich muzeów. Umowy międzypaństwowe jednak wygasły i w Częstochowie tropić już trzeba było myśl przewodnią.

Sala Rycerska, która po raz pierwszy wystąpiła w roli galerii (kiedyś tylko pokazywano w niej portrety Jana Pawła II), sprostaa zadaniu. Siedemdziesiąt ikon, w tym blisko czterdzieści Nowosielskiego, nie ginęła na jej płaszczyznach.

Samo otwarcie było medialnym i towarzyskim wydarzeniem, gromadzącym przedstawicieli organizatorów (ze strony klasztoru Adam Dobosz i o. Jan



Golonka), władz (z wiceprezydentem Zdzisławem Ludwinem), sponsora (ISD Huta Częstochowa z prezesem Anatolijem Fiediajewem). Przez dwa tygodnie wystawę obejrzały tłumy gości. Wszyscy oni, jak powiedział podczas wernisazu o. podprzeor Mieczysław Polak, mieli dzięki niej okazję nie tylko przeżyć wzruszenia artystyczne, ale i przybliżyć się do Boga.



*Chrystus to tytułowa ikona nie ludzką ręką pisana, Acheiropoietes z greki, Spas Nierukotwornyj z rosyjskiego, Mandylion z tradycji bizantyńskiej, czyli według legendy wizerunek odbity na płótnie (to tylko środkowa część ikony, na całości, tak jak na wszystkich tego typu ikonach,*

*a są one umieszczane w ikonostasie we wszystkich cerkwiach, widać to płótno, a właściwie „firaneczki”). Pochodzi z kościoła franciszkanów na Azorach w Krakowie (dużo więcej w nim Nowosielskiego).*

*Dруга ikona to św. Mikołaj Cudotwórca ze scenami z życia, jedna z najpopularniejszych ikon (bo to popularny święty) z cerkwi w Krakowie.*

## Truchcikiem po galeriach

Częstochowskie Prezentacje Sztuki, czyli **Art 2008** Częstochowa, trwały od 28 lipca do 3 sierpnia 2008 roku w Miejskiej Galerii Sztuki. Tę bardzo pod wieloma względami źle przygotowaną prezentację dzieł sztuki zrealizowały wspólnie MGS w Częstochowie, Zarząd Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków w Częstochowie oraz Regionalne Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych. Organizatorów wspierała Rada Programowa, którą, według wydawnictwa towarzyszącego Prezentacjom, tworzyły znane postaci życia kulturalnego naszego miasta: Anna Maciejowska – dyrektor Zespołu Szkół Sztuk Plastycznych, Ireneusz Kozera – naczelnik Wydziału Kultury Urzędu Miasta Częstochowy oraz właściciele autorskich galerii sztuki – Roman Lonty, Tomasz Sętowski, Mariusz Chrząstek. Prezentacje odbyły się przede wszystkim w złym terminie. Kanikuła nie sprzyja targom sztuki, w przeciwieństwie do okresu końca listopada czy początku grudnia, o tym wiedzą ludzie zajmujący się handlem. Do Częstochowy nie przyjechali „galernicy” z Krakowa, Katowic, Wrocławia, Poznania czy Warszawy, by zobaczyć, co się dzieje interesującego na prezentacjach. Nie pojawili się też krytycy piszący o sztukach plastycznych w znanych profesjonalnych pismach, jak „Art & Business”, „Format”, „Sztuka.pl”, „Arteon”. Impreza raczej dla częstochowian niż dla przyjezdnych. Więcej „we własnym sosie” niż z jakąś ogólnopolską perspektywą. W boksach, czyli stoiskach, generalnie panowało przeładowanie „towaru” – wyjątkiem była prezentacja Zachęty i galerii Tomka Sętowskiego. Nieliczne transakcje, mimo dość



Fot. Leszek Pilichowski

dużego przepływu ludzi odwiedzających targi, świadczą o wakacyjnym podejściu do sztuki potencjalnych jej nabywców. Interesującym manewrem było wyjście galerii na ulicę z informacją o trwających prezentacjach. Dało się zauważyć na mieście widoczny plakat „art Częstochowa”, zaprojektowany przez Elę Siwik. Myślę, że począt-

ki są trudne i że od razu Krakowa nie zbudowano. Warto jednak wyciągnąć sensowne wnioski z organizacji tej imprezy i zasięgnąć prawdziwej handlowej wiedzy i porady u fachowców, by następne spotkania ze sztuką pozostawiły po sobie nie tylko częstochowskie, ale i ogólnopolskie kontakty czy konteksty.

1 sierpnia w Konduktorowni częstochowskiej Zachęty odbył się wernisaż wystawy **Bartłomieja Stypki** i **Łukasza Gawrona** pt. „Natural Born Potfur”. Młodzi artyści uczą się jeszcze w Instytucie Plastyki Akademii Jana Długosza w Częstochowie, ale od kilku już lat intensywnie pracują swoimi szablonowymi wlepmami w różnych rejonach Czewy. Street art uprawiany przez wielu w Polsce w ich wydaniu można zaliczyć do istotnie interesującego ze względu na umiejętność łączenia szablonowego wrzutu z charakterem i znaczeniem miejsca akcji. Stypka i Gawron przyjęli zasadę, że najlepszym obszarem ich działania będzie to wszystko, co przemija bądź powoli staje się niepotrzebne – w sferze ulicy, obiektu fabrycznego czy też przedmiotu powszechnego użytku, który z racji swojej przestarzałości odesłany został do demobilu. Szeroko pojęte miasto stało się ich galerią, gdzie prezentowali się bardzo często i spektakularnie. W ich wydaniu szablonowe quasi-grafiki, powielane na murach i kamieniach pomiarowych, żyją razem w wyrazistym powiązaniu z urbanistyczną tkanką Częstochowy. Stworzyli między innymi przestrzeń, którą nazwali „Kładka gallery” – można tam zobaczyć 33 ich streetartowskie obrazy „zawieszane” na metalowej konstrukcji przejścia nad torami kolejowymi pomiędzy ulicami 1 Maja i Piłsudskiego. Prowadzą w ten sposób pewien kulturowy artystyczny dialog z każdym potencjalnym przechodniem „widzem”. Zostali zauważeni przez dwujęzyczną angielsko-francuską publikację „Stencil History X” wśród najlepszych graficiarzy XX i XXI wieku, obok Banksy’ego czy Le Bateleura. Na wystawie w Konduktorowni można zobaczyć poważny już dorobek Monstfura. Są to obrazy-objekty realizowane zasadniczo szablonem bezpośrednio na skorodowanych, kiedyś pomalowanych w innym celu, metalowych elementach – generalnie blachach starych i zardzewiałych, które były miejskimi reklamami, znakami informacyjnymi czy przemysłowymi tablicami o behapowskim oznakowaniu. Pokazali też swój graficzny „dizajn” na porzuconych na śmietniku przedmiotach codziennego użytku, jak zepsute telewizory, pralki, lodówki, stoliki turystyczne czy nawet zdezelowany, ale na chodzie, fiat 126p, stojący na postoju przed częstochowską Zachętą. Na wernisażu mieliśmy również projekcję multimedialną o działaniu Monstfura wewnątrz pofabrycznych zrzuconych przestrzeni częstochowskiego Wełnopolu. Tę prezentację przygotował częstochowski grafik ukrywający się pod pseudonimem Zoostuff. Ekspozycję młodzi artyści przygotowali na dwóch poziomach, co bardzo pomogło w zaprezentowaniu ich różnorodnych ikon plastycznych street artu, również i tych, które przenieśli na płótno naciągnięte na trady-

cyjny blejtram. Brawo, Panowie, sztuka ulicy dojrzała nareszcie, by pojawić się w Częstochowie ponownie.



Fot. Leszek Pilichowski

Także w Konduktorowni Zachęty od 1 do 17 sierpnia trwała wystawa malarstwa **Joli Jastrzęb** zatytułowana „Osiem”, chociaż na życzenie autorki wernisaż wystawy odbył się w dniu 8.08.2008 o godzinie 18 i jest to prawdopodobnie ósma indywidualna wystawa artystki. Prezentacja Joli Jastrzęb składa się jakby z dwu odsłon. Pierwsza, proekologiczna, pokazuje współczesne wiatraki napędzane wiatrem, olbrzymie metalowe skrzydła wytwarzające czystą energię elektryczną. Te czasami gigantyczne konstrukcje są znakiem współczesnej myśli technologicznej, odwracającej się od dymiących kominów elektrowni napędzanych węglem brunatnym czy kamiennym. Malarka, używając dużych formatów, próbuje znaleźć w obrazie dynamikę, ruch, zderzenie kierunków, które wyrażałyby zarówno siłę natury i nowych technologii. Poszukuje malarskiego znaku, który symbolizowałby zjawisko zarówno przestrzenne, jak i metafizyczne – przemiany ruchu w energię, a później w materię obrazu. W tej pierwszej odsłonie kolorowej i zdynamizowanej ponosi jednak klęskę. Obrazy, choć nie wszystkie, nie tworzą, nie kreują tego znaku, wiele z nich jest przesiąknięte zbyt łatwą opisowością, wyjętą jednak z przetworzonego syntetycznie realistycznego obrazka. Są jednak w tej odsłonie również na szczęście takie obrazy, których kompozycyjna konstrukcja odchodzi od opisowego użycia koloru na rzecz stworzenia ekspresji w przedstawieniu malarskim opartym przede wszystkim na autonomicznym, automatycznym geście-zapisie malarskim – wprowadzającym czasami dekompozycyjne wartości w zarejestrowanym już wcześniej układzie struktury wypracowanego przestrzennego znaku. Widać wtedy zmagania artystki z materią znaczeniową obrazu. Walkę czasami przeciwstawnych wartości malarskich płaszczyzny i przestrzeni o dominację.

Druga odsłona to generalnie obrazy monochromatyczne, malowane od bieli do ciemnych szarości. Są to ideogramy, schematyczne konstrukcje, objaśniające zasady działania urządzeń-nieurządzeń wymyślonych czy przywołanych przez artystkę, napędzanych energią wia-

tru czy innymi, bliżej niesprecyzowanymi energiami. Te malarskie zapisy, pozbawione koloru, zastępujące jakieś wymaginowane urządzenie, w domyśle być może nie do końca udane perpetuum mobile, stają się jakąś pierwotną, zakodowaną, archetypiczną malarską energią, już bez żadnych kolorystycznych złudzeń czy innych ekologicznych podtekstów. Surowość i jednoznaczność tych kompozycji, zredukowana do podstawowych figur, tworzy inną konfigurację odniesień do rzeczywistości, mocniejszą niż w pierwszej odsłonie wystawy.

**Ryszard Czop**, absolwent Akademii Jana Długosza w Częstochowie, przedstawił w restauracji japońskiej Edo, w ramach Częstochowskiej Nocy Kulturalnej, zestaw prac graficznych w technice linoryt, dotykających zagadnień przenikania się historycznej tradycyjnej kultury japońskiej ze współczesnością. Fascynacje Japonią i jej kulturą w Europie trwa nieprzerwanie od drugiej połowy XIX wieku i ciągle się ta fascynacja nasila. Interesujemy się przede wszystkim sztuką ikebany, origami, poezją haiku, malarstwem tuszowym, filmami Kurosawy, kuchnią japońską, szogunami, gejszami i samurajami, którzy to oprócz tego, że znali świetnie różnorodne sztuki walki, w czasie wolnym od ćwiczeń fizycznych i kontemplacji zgłębiali również swoją duchowość, malując, kaligrafując, ucząc się sztuki układania kwiatów, tworzenia ogrodów czy miniaturowych drzew – bonsai. Samurajowie byli również świetnymi aktorami, pisarzami, poetami, a także grafikami. Ryszard Czop dobrze poznał kulturę samurajów i sam, naśladując ich w sztuce grafiki, poszukuje nowych kontekstów kulturowych w powiązaniu z tradycją japońskiego drzeworytu. Jako bardzo świadomy grafik wybrał linoryt, technikę graficzną, która stała się jego domeną i najbardziej konsekwentną drogą do wyrażania swoich formalnych i treściowych emocji, i osiągnął wybitne rezultaty nie tylko przez kunszt techniczny, ale również przez bogate obrazowo i kolorystycznie przedstawienie graficzne.

„**Motyle i ważki – ulotne piękno lata**” to tytuł wystawy zaprezentowanej przez Galerię Ośrodka Promocji Kultury Gaude Mater, a zorganizowanej przez Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych im. Wandy Wereszczyńskiej w Częstochowie przy współpracy Grupy Tkackiej „Miniatura” KSM w Kielcach. Prezentacja, jak czytamy w tytule, jest artystycznie letnia i specjalnie w letnim czasie pokazywana. Prace przedstawione na wystawie uczestnicy wykreowali przede wszystkim w różnych technikach związanych ze współczesną tkaniną od modyfikowanego gobelinu począwszy. Były również nieliczne kompozycje malarskie. Całość prezentacji, starannie przygotowanej, cieszy różnorodnością opracowania tkaniny jako obiektu dekoracyjnego, mającego wyrazisty użytkowy charakter przyozdabiania wnętrza w bardziej lub mniej udatne motyle i ważki. Wyróżniły się prace Jana Mazura, Wiesławy Klechy, Kazimierzy Labochy, Zofii Trzepióry-Nogi oraz Jadwigi Wosik i Barbary Gawlik.

**Marian Panek**



## BLIŻEJ ELITY

**Z Małgorzatą Kozakowską,  
pierwszą w Częstochowie kobietą –  
członkiem ZPAF  
rozmawia Janusz Mielczarek**

*Czy pół roku temu sądziłaś, że będziesz członkiem bądź co bądź dość elitarnej organizacji twórczej, jaką jest Związek Polskich Artystów Fotografików? Dodam, że w Częstochowie jest obecnie jego dziewięciu członków, a ty jesteś pierwszą kobietą.*

Absolutnie nie. Myślałam czasem w skrytości, aby znaleźć się w tym gronie, ale nie myślałam, że stanie się to tak szybko. Miałam jednak szczęście. Zapraszając mnie w grudniu ubiegłego roku na noworoczne spotkanie Okręgu Świętokrzyskiego ZPAF, w czasie którego pokazałeś fotografie moich martwych natur, jesteś poniekąd sprawcą tego wydarzenia. Byłam pierwszy raz w tamtym środowisku i dobre przyjęcie moich prac mile mnie zaskoczyło. Wówczas to prezes Andrzej Borys zaproponował mi podjęcie starań o wstąpienie do związku, więcej - wyznaczył zaraz datę pierwszych konsultacji. Wszystko potoczyło się bardzo szybko, a ponieważ w sąsiedztwie była bajeczna sceneria zamarzniętego jeziora, momentami nie wierzyłam, że to się dzieje naprawdę.

*Na spotkaniu konsultacyjnym w Kielcach, w styczniu tego roku, przewodniczący Komisji Artystycznej zapytał wprost: dziewczyno, kto cię tak nauczył fotografować?*

To było szalenie sympatyczne, ale w czasie kolejnych spotkań w lutym i kwietniu pojawiło się jednak sporo problemów. Był nawet moment, że zwątpiłam. Obawiałam się zwłaszcza strony teoretycznej. Jednocześnie wiedziałam, że taka szansa może się nie zdarzyć prędko. Postanowiłam zawalczyć. Sięgnęłam do książek o sztuce i fotografii. Poszukiwałam materiałów w internecie. Przyswojona wiedza dała mi więcej pewności siebie i odwagę do publicznego wypowiadania się, czego dotychczas po prostu się bałam. W ten sposób „godzina 0” i spotkanie z przed-



Fot. Janusz Mielczarek

stawicielami Komisji Artystycznej ZPAF skończyło się dla mnie szczęśliwie. Podobno moje fotografie oglądano dość wnikliwie. Przy tak wybrednym gremium, to ważny i optymistyczny sygnał dla autora.

*Zainteresowanie wzbudził też fakt, że robisz filmy dokumentalne, że jesteś w stanie wejść w trudne środowisko i opowiedzieć o nim.*

Film, to zupełnie inna wypowiedź, niż moje fotografie tworzone w ciszy, sam na sam z pomysłem. Mam jednak sentyment do kamery filmowej. Lubię dokument, bo mogę wejść w sytuację autentycznego bohatera, przeżywając jego problemy. Gorzej jest z obrazami reżyserowanymi. Inspiracją do filmu „Dniówka” – chyba najlepszego, jaki zrobiłam – była postać samotnego, osiemdziesięcioletniego

człowieka na wsi, który nie poddał się współczesności, pozostał – jak jego przodkowie – Człowiekiem Ziemi. Obserwowałam go dość długo, zanim poprosiłam, abym mogła przez kilka dni towarzyszyć mu z kamerą. Film o bezdomnych powstał, gdy podążyłam śladem człowieka chodzącego od drzwi do drzwi i proszącego o gorącą zupę. Zaniosiłam ją i zastałam grupę mężczyzn i kobiet wegetujących w krzakach niedaleko bloku, gdzie mieszkam. Te filmy cenię sobie najbardziej. Jest w nich wiele moich emocji i przeżyć. W „Dniówce” podziw dla uporu starego człowieka żyjącego w tym samym rytmie i w zgodzie z naturą, jak jego przodkowie, choć świat wokół jest już zupełnie inny, w drugim – smutek i współczucie dla zepchniętych na margines ludzi, wegetujących prawie za ścianą naszych mieszczańskich domów.



Fot. Małgorzata Kozakowska

## **Muzyka nie wymaga języka** **Z Ewą Dłubak Westergaard Hansen** **rozmawia Dominika Radkowska**

*Ewa Dłubak Westergaard Hansen. Urodzona w Częstochowie. Jest absolwentką wydziału wokalnno-aktorskiego Akademii Muzycznej im. K. Szymanowskiego w Katowicach. W roku 2007 ukończyła w Danii dodatkowe studia na wydziale reżyserii w zakresie pedagogiki dramaturgii scenicznej. W latach 1984-1995 solistka Państwowej Opery Śląskiej w Bytomiu. Od 1995 roku mieszka na stałe w Danii. Współpracuje jako solistka-śpiewaczka z teatrami operowymi oraz z jednym z najbardziej renomowanych w Europie zespołów kameralnych - Størstroms Kammerensemble. Od roku 2000 prowadzi działalność pedagogiczną, jednocześnie współpracując z Prywatną Akademią Operową. Od roku 2007 pracuje również jako konsultant teatralny. Prowadzi ożywioną działalność społeczną w ramach Duńskiej Unii Soroptimist – związku mającego na celu walkę o poprawę statusu kobiet i dzieci na świecie. Jest inicjatorką projektu, w ramach którego objęta została pomocą finansowo-edukacyjną 11-letnia dziewczynka z Częstochowy. Pełni funkcję Prezydenta Klubu Soroptimist.*

*Dlaczego po studiach, w trakcie rozwijającej się w kraju kariery muzycznej, wyjechałaś do Danii, aby tam pozostać?*

W Polsce moja kariera muzyczna była związana z teatrem operowym, gdzie byłam solistką. Był to okres około trzynastu lat, bardzo owocny. Śpiewałam większość czołowych partii sopranowych. Byłam zatrudniona na etacie, więc jako pracownik byłam do dyspozycji dyrekcji cały czas. Ten okres w moim życiu dopełnił się i postanowiłam szukać nowych impulsów. Niejako pretekstem do tego było poznanie mojego obecnego męża – Duńczyka – i wyjazd do Danii. W Polsce zrealizowałam się. Gdybym została, byłabym nadal śpiewaczką w operze i nic więcej prawdopodobnie nie zdarzyłoby się. Ale potrzebowałam czegoś nowego i szansa wyjazdu to było nowe wyzwanie – teraz albo nigdy. Jestem osobą bardzo ciekawą tego, co mnie otacza. Nie umiem zamknąć się tylko w jednym rozdziale. Dlatego wyjazd do kraju, w którym nigdy nie byłam, mimo, że zwiedziłam prawie całą Europę i Amerykę, był ciekawą perspektywą. Nie znałam języka. Byłam świadoma, że jeżeli wyjadę, będę musiała zacząć wszystko od początku. Rzuciłam wszystko na jedną szalę. Udało się i jestem bardzo zadowolona. Znalazłam nowe ciekawe miejsca, nowe sposoby rozwoju mojej osobowości.

*Miałaś przerwę w uprawianiu zawodu na nauczanie się języka i funkcjonowanie w nowym kraju?*

Od razu miałam kontakty koncertowe – muzyka nie wymaga języka do porozumienia się. Zaczęłam koncertować, później poszłam dalej – skończyłam dodatkowe studia na wydziale Reżyserii: Pedagogika Dramaturgii Scenicznej. Zrealizowałam w ten sposób swoje marzenie, spełniłam tęsknotę, odczuwaną jeszcze w kraju. To cudowne, że w Danii można studiować w każdym wieku, jeśli tylko ma się talent i predyspozycje, można sobie na to pozwolić. Zresztą, żeby studiować reżyserię w Danii, podobnie jak w Polsce, trzeba mieć ukończone inne studia. Kierunek, który ukończyłam, związany jest przede wszystkim z teatrem, także z tym, co jest poza czystą reżyserią. Nie jest to tylko „ustawianie” aktorów i kierunkowanie jak mają interpretować tekst, ale nauka psychologicznego spojrzenia i podejścia pedagogicznego. Dzięki temu mogę nie tylko reżyserować przedstawienia, ale również uczyć młodych ludzi reżyserii. Oprócz tego że jestem śpiewaczką, uczę, śpiewu przy Prywatnej Akademii Operowej – techniki i zasad śpiewu, poruszania się po scenie, używania głosu. Jestem także zatrudniona na stanowisku konsultanta teatralnego, uczestniczę w doborze spektakli prezentowanych na scenie teatru impresaryjnego.

*Z jakimi placówkami w Danii współpracujesz?*

Pracuję jako freelance singer – to też jest moje zrealizowane marzenie, żeby nie być uzależnionym od nikogo. Po trzynastu latach pracy w teatrze, kiedy byłam do dyspozycji o każdej porze i prawie zobligowana do przyjmowania każdej roli – w tej chwili mogę decydować sama z kim, kiedy, gdzie i za jaką gażę. Pracuję w całej Danii, oczywiście w swoim regionie jestem najbardziej aktywna, tam uczę, tam pracuję, tam mam kontakt z jedną z najlepszych orkiestr kameralnych w Europie - Størstroms Kammerensemble. To jest moja baza. Mieszkam w Nykøbing, przez pierwsze sześć lat mieszkałam w Roskilde. Od Kopenhagi dzieli mnie 120 kilometrów, czyli bardzo niewiele.

*Jaki repertuar prezentujesz?*

Specjalizuję się teraz w koncertach solowych, nie tylko z repertuaru operowego. Jest to muzyka kameralna, dużo muzyki kościelnej – przepiękne utwory śpiewam z orkiestrą kameralną. Poszerzyłam repertuar, śpiewam właściwie wszystkie gatunki, może z wyjątkiem musicalu.

*A utwory współczesne?*

Ostatnio przymierzam się do współczesnego repertuaru polskiego. Zawsze staram się przemyśleć w różnych koncertach utwory polskich kompozytorów. Bardzo fascynuje mnie muzyka baroku, muzyka oratoryjna. Jest piękna, uwielbiam ją. Do tego typu muzyki dojrzeva się z wiekiem. Repertuar koncertowy dobieram pod kątem profilu i miejsca koncertu. W Danii bardzo wiele koncertów odbywa się w kościołach. U nas, na Jasnej Górze bywają koncerty, ale są one o profilu typowo religijnym. W Danii można wykonywać w kościele każdy rodzaj muzyki, trzeba tylko dopasować ją do zapotrzebowań publiczności.

*Bierzesz udział w koncertach na kilka głosów?*

Jeżeli jest szansa zaśpiewania w oratorium z innymi solistami, to tak. Ale nie w formie żadnego stałego ensemble'u, czy zespołu. Wolę śpiewać sama.

*Dlaczego tak rzadko występujesz w Polsce?*

Cóż, to nie zależy ode mnie. Trzeba by zapytać Polski... Częstochowa bardzo dobrze wie, kim jestem i gdzie jestem i nie ma problemu z trafieniem do mnie.

*Czy jako artyście jest Ci łatwiej realizować się w Danii, niż w Polsce?*

Jest inaczej. Łatwiej może ze względów technicznych. Szybciej dochodzi się z ludźmi do porozumienia, są bardzo zdyscyplinowani. Jeżeli coś obiecują, umawiają się, to jest na pewno. Każdy koncert jest potraktowany bardzo profesjonalnie. Śpiewak jest tylko śpiewakiem, nie potrzebuje zajmować się innymi działami. Moim zadaniem jest zaśpiewanie, dostaję gażę i na tym moja rola się kończy. Wyjechałam z Polski trzynaście lat temu – wtedy bywało różnie z dotrzymywaniem kontraktów. Chciałabym również podkreślić, że Dania jest krajem, gdzie kobieta jest bardzo samodzielna. Jest równorzędnym partnerem dla mężczyzny, jej praca jest na równi ważna i szanowana. Chciałabym,

żeby w Polsce również tak było, aby kobiety realizowały się zawodowo, robiąc to, co lubią. Zauważam, że teraz w Polsce jest więcej kobiet niezależnych, dbających o siebie i swój status. Jeszcze jedna sprawa bardzo mi w Danii odpowiadająca, to rzeczywista demokracja. Czuję się tam naprawdę wolnym człowiekiem, mogę wyrazić to, co myślę.

*Jak postrzegasz Częstochowę z daleka?*

Zmieniła się na gorsze, niestety. Częstochowa zbrzydła, to nie jest „moja” Częstochowa i jest mi przykro z tego powodu. Ja pamiętam miasto widziane oczami dziecka, potem młodej dziewczyny. To było miłe miasto, miasto ludzi. W tej chwili to jest konglomerat ludzi zabieganych. Gdziekolwiek obserwuję, widzę, że wszyscy są jakoś dziwnie agresywni w stosunku do siebie, zastanawiam się dlaczego. Może przyczyną tego jest fakt, że ludzie po prostu borykają się z wieloma problemami życia codziennego? Miasto, mimo widocznych wysiłków władz, robi wrażenie zaniedbanego „w zaułkach”. Kilka lat temu miałam odczucie, że zaczyna się tu coś budować, odnawiać, ale te przemiany stanęły w miejscu. Częstochowa jest moim miastem rodzinnym, które kocham, niezależnie od tego, czy jest ładne czy brzydkie, choć żał mi, że tak jest. Te spostrzeżenia są tylko przejawem mojej troski, nie krytyki. W Częstochowie mam rodzinę, wszystkie wspomnienia, wszystko co jest najdroższe i dlatego zawsze tutaj wracam.

*Dziękuję za rozmowę.*



Fot. Piotr Dłubak



## Mokra 1939

Janusz Mielczarek

W 1999 roku, w czasie przygotowań do obchodów 60. rocznicy Bitwy pod Mokrą, ówczesny Starosta Kłobucki Marek Sztolcman poprosił mnie o aranżację wystawy malarstwa mającej towarzyszyć uroczystościom. Zapytałem, czy w dalszym ciągu (poza fragmentami w opracowaniach książkowych) jedyny ogólnie dostępny materiał o bitwie stanowi amatorskie opracowanie mieszczące się na kilku kartkach formatu A-5 odbitych na powielaczu? Niestety, odpowiedź była twierdząca.

Zaproponowałem stworzenie czegoś nowego. Starosta podchwycił propozycję, czasu było nie-

wiele, pieniędzy jeszcze mniej. Wertując materiały o bitwie pod Mokrą odrobiłem ważną dla mnie lekcję historii. Zrozumiałem wielkość bohaterstwa i ofiary krwi polskich kawalerzystów pierwszego dnia tamtej wojny. To skandal, że nie mówiło się o tym wcześniej wcale albo ledwie półgębkiem. Dlaczego? To proste: jak mogła polskiej ziemi w 1939 roku bronić kawaleria z Wołyńia, który należał od 1945 roku do ZSRR?! Nie było też w tej bitwie tak obśmiewanej przez propagandę PRL-u wojny „z szablami na czołgi”. 1 września 1939 r. na wysokości wsi Mokra 1, 2, 3 (ok. 20 km w linii prostej od Częstochowy) Wołyńska Brygada Kawalerii odparła trzy ataki niemieckiej 4. Dywizji Pancernej i wspierającej ją artylerii, lotnictwa i innych jednostek. Pierwszy duży atak sił niemieckich nastąpił po przygotowaniu lotniczym i artyleryjskim ok. godziny 10 i został odparty. O godz. 13 rozpoczęło się drugie natarcie około 100 czołgów poruszających się



Fot. Janusz Mielczarek

# FOTOGRAFIA z HISTORYJKĄ

dwoma falami w odstępach ok. 200 metrów. Po przejściu pierwszej linii obrony natarcie załamało się, gdy wprowadzony do walki polski pociąg pancerny salwami z haubic 100 mm zadał nieprzyjacielowi poważne straty. Około godziny 15 szerokim frontem ruszyło trzecie natarcie. Czołgi podeszły na odległość ok. 100 m do linii toru kolejowego, gdzie bronił się zdziesiątkowany 12. Pułk Ułanów Podolskich i nieliczne już baterie II Dywizjonu Artylerii Konnej. W tym decydującym momencie dowódca brygady, płk dypl. Julian Pobóg-Filipowicz, wprowadził do walki będący w odwodzie 21. Dywizjon Pancerny. Zaskoczeni tym niemieccy czołgiści wycofali się. Pod osłoną nocy, na rozkaz dowódcy, Brygada (nie bez strat) wycofała się w kierunku na Ostrowy.

Konieczne jest podanie kilku podstawowych faktów z tej ważnej bitwy Września 1939, która dla polskiej strony nie była przegrana. Broniąca się pod Mokłą Wołyńska Brygada Kawalerii, podporządkowane jej jednostki i pociąg pancerny "Śmiały" liczyły około 8.100 ludzi. Z pułku kawalerii, a takich pod Mokłą były cztery, do walki pieszo i wsparcia można było wystawić połowę, resztę stanowili koniowodni (to ten z trójki kawalerzystów zajmujący się końmi

w czasie, gdy pozostali dwaj walczą), tabory, służby tyłowe itp. Nacierająca 4. Dywizja Pancerna liczyła około 10.000 ludzi, a wraz z lotnictwem, artylerią i innymi rodzajami broni było ich łącznie około 15.000. Generał Reinhardt miał do dyspozycji 300 czołgów i około 40 samochodów pancernych, były to w większości czołgi lekkie, o grubości pancerza do 30 mm; "Tygrysów" i "Panter" na początku wojny Niemcy jeszcze nie mieli. Analizując różne oceny dotyczące środków ogniowych walczących stron, przyjąć można, że ich stosunek wynosił 5 do 2 na korzyść agresorów, uwzględniając również fakt przewagi w podstawowej broni strzeleckiej, Niemcy mieli już pistolety maszynowe.

I wreszcie ofiary w ludziach, najtragiczniejsze żniwo każdej wojny. Jedni oceniali je na 10% stanu Brygady, inni na ponad 1000 ludzi. Źródła niemieckie mówią o 96 czołgach i pojazdach pancernych własnych rozbitych lub uszkodzonych, straty w ludziach oceniają na 300 żołnierzy, strony polskiej zaś na 500 i 800 koni, co po zapoznaniu się z różnymi danymi i analizie wydarzeń tego dnia wojny wydaje się najbliższe prawdy. Prawdy o ofierze krwi polskich żołnierzy, przemilczanej przez długie lata.



Niemieckie zdjęcia archiwalne pokazują rozmiar strat zadanych przez żołnierzy WBK

Tadeusz Gieryski

## Armia Czerwona nadchodzi

Zima była jak cztery poprzednie – mroźna i śnieżna. Pola pokrywała gruba warstwa śniegu. Nie musiałem się jednak przez nią przedzierać, ponieważ mieszkaliśmy już w mieście, a raczej na jego skraju, w porządnym piętrowym domu, w kilku pokojach, z obszernym tarasem wychodzącym na szosę. Skąd ta zmiana? Z początkiem 1944 roku ojciec zaczął pracować w rolniczej firmie „Społem” jako magazynier. Przeszliśmy głodować, pożegnaliśmy wieś.

Kłęska Niemców była widoczna. Już od lata szosą prze-walały się wozy, auta ciężarowe z niemieckimi cywilami ze wschodu. Ojcu udało się i mnie zatrudnić w spółdzielni. Miałem więc Ausweiss i byłem jako tako zabezpieczony przed łapankami w mieście. Późną jesienią potok uciekinierów ustał. Czytaliśmy konspiracyjne gazetki – głównie „Informator”. Często, wracając z pracy do domu, słuchałem niemieckiej „szczekaczki” wraz z gromadką przechodniów. Radiogłośniki umieszczone były w kilku punktach miasta. Latem 1944 roku komunikaty zaczynały się tak: „Główna Kwatera Führera donosi: wojska niemieckie w rejonie Kielc cofnęły się na z góry upatrzone pozycje...” Wychodziła też gadzinowa prasa w języku polskim. Pamiętam jeden tytuł: „Nowy Kurjer Warszawski”.

Wybuch Powstania Warszawskiego wzbudził nadzieje na szybkie zakończenie wojny i niepodległość. W kilka tygodni po 1 sierpnia przez Skierniewice szły transporty z ludnością stolicy. Rozczarowanie było wielkie. Zamiast ogólnopolskiej insurekcji kopanie dla Wehrmachtu rowów przeciwczołgowych. Zmuszono do tego całą ludność. I ja musiałem zameldować się z łopata.

Po powstaniu w Warszawie zjechała się do nas (via Pruszków) cała rodzina ojca, prócz dwóch moich stryjecznych braci, którzy dostali się do niewoli niemieckiej. Notabene jeden z nich, mój imiennik, odznaczony został orderem Virtuti Militari.

Jesienią front wschodni zastygł. Pewnego dnia zauważyłem dwa niemieckie samoloty lecące po niebie z ogromną szybkością. Były to zapewne pierwsze odrzutowce Luftwaffe.

Mineły Wigilia i święta. Około połowy stycznia widać było wycofujących się Niemców ze wschodu na zachód. Wieczorem wpadli do nas żołnierze w panterkach. Każdy z pistoletem. Byli przestraszeni. I my też. Jak wpadli, tak wypadli. Znowu odległe grzmoty armat. Pamiętam, w czerwcu 1941, gdy się przyłożyło w cichym lesie (mieszkaliśmy wtedy na wsi) ucho do gruntu, słychać było słabe grzmoty, mimo tak wielkiej odległości. Ziemia przyjmuje wszystko i wszystko oddaje.

Przez całą noc jechały samochody z Niemcami. Nad ranem ucichło. Nagle potężny ryk i strzały. Wybiegłem na balkon. Nad miastem, w locie koszącym, trzy samoloty strzelające z działek. Sowieckie. Pędem ściągnąłem z łózka przeciwradło i pobiegłem na drugą stronę szosy, gdzie rozpościerało się białe od śniegu pole. Położyłem się na ziemi, przykrywszy się przeciwradłem. Zamaskowany obserwowałem szosę. Niemieckich samochodów już nie widziałem. Czekałem. Byłem młody i wciąż ciekaw wojny. I oto na szosie rozegrał się osobliwy dramat: drogą jechał motocykl z przyczepą, zataczając się od rowu do rowu. Jednocześnie zza strzosa przy szosie ujrzałem również pędzący i ostrzeliwujący motocykl – czołg. Po kilku sekundach pojazd z Niemcami wywrócił się, a jego pasażerowie wpadli

do rowu. T-34 popędził w zabudowania miejskie. Po pewnym czasie za tą pancerną awangardą kolejne czołgi. Potem szli piechurzy gromadkami i pojedynczo, szosą i polem. Szli i szli fala za falą. Witaliśmy ich radośnie. Pojawili się też na koniach Kozacy w wielkich czapach i ozdobionych metalem serdakach. Wyglądali barwnie i groźnie. Ale najbardziej zdumiał mnie niski, szeroki pojazd, który ciągnęły psy. Do transportu rannych?

W mieście Niemcy, którzy nie zdążyli uciec, zniszczyli kilka czołgów panzerfaustami, ale infrastruktura miasta ocalała. Kilku żołdatów zjrzało do nas. Świsnęli leżący na stole mój zegarek. Przyprawdzili też trzy urodziwe Ukrainki, które prawdopodobnie pracowały dla Niemców, i zamknęły się z nimi w jednym z pomieszczeń. Po wyjściu z domu czerwoarmiści zastrzelili kilku Azjatów (Kałmuków), którzy schronili się w ogrodzie. Nazajutrz rano – leżeli na śniegu, obdarci z odzieży. Przerazający widok!

Idący żołnierze wciąż pytali, jak daleko do Berlina? Jeden z nich (dobrze pamiętam), szeroko rozkładając ręce, z ironicznym uśmiechem, zapytał: Pan, gdzie jest Bóg? i rozglądał się wokół... Wskazałem na jego serce. Przez chwilę się zamyślił i poszedł dalej. „Wyzwoliciele” zachowywali się różnie. Jedni byli uprzejmi i kulturalni. Grali u nas na pianinie rosyjską klasykę. Pamiętam trzech żołnierzy, którzy wyłamali płyty chodnikowe i rozwalili w mieście kiosk, albo rozbijali szyby w sklepach. Dla samego zniszczenia, bo kiosk i sklepy były puste.

Nauka, szkoła. W ostatnich dwóch latach okupacji uczyłem się w domu i chodziłem do profesorów gimnazjalnych na egzaminy. Przed otwarciem szkoły kilka dni pracowałem przy porządkowaniu gimnazjum. Wnosiłem do piwnic węgiel i koks, myłem posadzki itp. Cieszyłem się, że wreszcie będę chodził do wolnej polskiej szkoły.

Po wycofaniu się hitlerowców miasto stało się bardzo ludne: wojsko sowieckie, wypędzeni z Warszawy i Wielkopolski, nie licząc ludności stałej. Wkrótce ze wschodu przybyła też pewna liczba Żydów. Na ulicach miasta pokazała się prawie natychmiast Milicja Obywatelska, na razie tylko z opaskami na ramionach. Zaczęły się też pierwsze aresztowania w śródowniku akowskim. Do tej podziemnej organizacji należałem i ja. Praca polegała na przenoszeniu bibuły, czasem ręcznej broni, obserwowaniu i liczeniu transportów wojskowych. Pisałem o tym szerzej w „Alejach 3” przed laty. Organizowano w mieście pierwsze masówki polityczne, gdy wojna się jeszcze toczyła. Pamiętam, przemawiał oficer polskiego wojska. Na końcu patriotycznego przemówienia wznosił okrzyk: „Niech żyje Polska!” Kilkutysięczny tłum odpowiada: „Niech żyje!” Potem: „Niech żyje Związek Radziecki!” Milczenie tłumy.

W kwietniu 1945 roku zacząłem chodzić do I klasy licealnej typu humanistycznego. Z nauką nie miałem trudności, ponieważ uczyłem się samodzielnie, a ten rodzaj nauki jest najbardziej korzystny. Do tej samej klasy chodził Henryk Bereza, później jeden z najwybitniejszych krytyków literackich w kraju. Przedmiotem jego studiów była proza. Przez rok byliśmy przyjaciółmi, aż do przeniesienia się mojej rodziny do Łodzi.

Muszę tu wspomnieć o mojej pierwszej platonicznej miłości. Jola, młodsza ode mnie o jeden roku, chodziła do żeńskiego gimnazjum. Zwyczajem tamtych lat odprowadzałem ją po szkole do domu, niosąc jej teczkę. Była inteligentną dziewczyną, głęboko myślącą, pięknie śpiewała i rysowała. Taka przedwojenna pensjonarka, których dziś już nie ma. Kiedyś wczesnym majowym wieczorem szliśmy spacerem za miasto. Świeża, wybujala zieleń, radosny śpiew ptaków. Nieświadomie nasze twarze zbliżyły się do siebie i nastąpił pierwszy oszalały pocałunek. Pierwszy dla nas obojgu. Wracając śpiewała mi jakąś piosenkę o jedwabnej, pachnącej paryskimi perfumami chusteczce...

**Aleksander Jaśkiewicz**  
*Muzeum Częstochowskie*

## **Kościół św. Antoniego Padewskiego**

Parafia św. Antoniego Padewskiego na Ostatnim Groszu powstała w 1936 r., erygowana przez pierwszego biskupa częstochowskiego dr. Teodora Kubinę. Początkowe jednak starania o jej utworzenie sięgają roku 1930, kiedy ks. Antoni Godziszewski, ówczesny wikariusz św. Rodziny, rozpoczął przekształcenie drewnianego budynku mieszkalnego na mały kościółek oraz przystąpił do wznoszenia budynków plebańskich. Wcześniej również, bo w roku 1931 powstały pierwsze projekty budowy kościoła murowanego, których autorami byli architekci warszawscy: Wiesław Kononowicz i Józef Krupa oraz krakowski – Zygmunt Gawlik. Żaden z nich nie został jednak przyjęty do realizacji. Dlatego ogłoszono konkurs na kolejny projekt, rozstrzygnięty w 1934 r. Zaproponowane wówczas rozwiązanie przez Wacława Kononowicza nie znalazło akceptacji. Natomiast drugi projekt Zygmunta Gawlika Komisja oceniła pozytywnie, zastrzegając sobie wprowadzenie pewnych zmian w rozwiązaniu wnętrza. Innego zdania był biskup Teodor Kubina i projekt w całości uznał za nadający się do budowy.

Miała to być świątynia założona na planie zbliżonym do trójkąta z jedną dużą nawą, wysmukłą czworoboczną wieżą od frontu, dwiema kaplicami po bokach i półkoliście zamkniętym, nieznacznie wyodrębnionym z bryły prezbiterium, pod którym umieszczono zakrystię. Zejście do niej przewidziano w podstawie jednej z dwóch ambon.

Pod budowę wybrano miejsce najwyżej położone w dzielnicy. Do realizacji projektu przystąpiono w sierpniu 1938 r. i do wybuchu wojny założono fundamenty i wbudowano cokół. Po wojnie budowę kontynuowano od 1947 r. i w stanie surowym zakończono ją w 1956 r. Dużą trudność sprawiało wykonanie kasetonowego stropu, który rozpięty nad dużą przestrzenią, nie ma żadnych podpór.

Kilka następnych lat trwało wykończenie wnętrza, które z dużym znanstwem prowadził miejscowy proboszcz ks. Leon Stasiński. Jego staraniem wykonano też w znacznej części wyposażenie wnętrza, także projektowane przez Z. Gawlika. Najwcześniej według jego projektu wystawiono ołtarz główny (1953), później wykonano dwie ambony przy tarczy (po stronie epistoły dla lektora, 1957), ołtarz boczny (1957), chrzcielnicę (1957), siedem metalowych żyrandoli, dębowe ławki w nawie, balustradę oddzielającą prezbiterium od nawy; być może Gawlik projektował

również główne drzwi i drzwi boczne kościoła, ozdobione rzeźbionymi głowami 12 apostołów.

Ołtarz główny jest murowany, oblicowany marmurowymi płytami z tabernakulum, na którego srebrnych i złożonych drzwiczkach znajduje się scena Chrystusa w Emaus, wykonana według projektu inż. Stanisława Pospieszalskiego. Z tego samego materiału co ołtarz, wykonane są ambony ozdobione gipsowymi płaskorzeźbami (realizacja Józefa Starzyńskiego z Zakopanego), przedstawiającymi Jezusa nauczającego z łodzi, Rozesłanie Apostołów, Jezusa nauczającego w świątyni, Jezusa Dobrego Pasterza, Uzdrawienie chorych i Rozmnożenie chleba. Na chrzcielnicy mamy dwie płaskorzeźby ze scenami Chrztu Polski i Chrztu Jezusa. Nad wejściem głównym do kościoła znajduje się figura św. Antoniego Padewskiego z 1972 r.

Z. Gawlikowi bardzo zwykle zależało, by w projektowanych przez niego świątyniach on mógł również projektować ich wyposażenie. W ten sposób architektura wraz z wyposażeniem miały stanowić pewną do końca przemyślaną, harmonijną całość, a nie być zbiorem mniej lub bardziej przypadkowych elemen-



Fot. Zbigniew Burda



# ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY

tów. Dodajmy, że choć witraże w dużych jedenastu oknach naszej świątyni zostały zaprojektowane przez znaną artystkę Zofię Bauduin de Courtenay (wykonane w latach 1958-61), to już wcześniej Z. Gawlik przewidział je w ogólnym projekcie kościoła.

W ocenie działalności naszego architekta nie można zapominać, że zajmował się on również rzeźbią, malarstwem i rysunkiem, a w późniejszym okresie życia także konserwacją zabytków architektury. Na dzieło architektury patrzył więc oczami artysty z wszechstronnym doświadczeniem.

W latach trzydziestych, kiedy projektował kościół św. Antoniego na Ostatnim Groszu, cieszył się już ugruntowaną pozycją wziętego architekta i miał na swoim koncie wygrany konkurs na projekt katedry w Katowicach oraz realizację innych znaczących

budowli. Według jego planów wzniesiono również gmach Częstochowskiego Seminarium Diecezjalnego w Krakowie.

Monografista Z. Gawlika, Filip Burno, jego realizacje z lat 1929-1939 zalicza do bardzo dobrych przykładów „półmodernizmu lat trzydziestych”. W architekturze Gawlik cenił sobie efekty monumentalizmu, przy czym nietrudno dostrzec, że świadomie nawiązywał zarazem do rodzimej tradycji. Nieobce były mu też tendencje wertykalne. Widoczne jest to m.in. w ukształtowaniu bryły naszego kościoła, a zwłaszcza jego wieży, przy czym należy zaznaczyć, że w trakcie realizacji dzieła, na życzenie władz wojewódzkich, została ona przez projektanta obniżona do obecnej wysokości (ok. 70 m), bo pierwotnie miała być jeszcze wyższa.



# ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY

Poczucie wertykalizmu bryły kościoła wzmacnia charakterystyczne uformowanie ścian złożonych ze wklęsłych, rytmicznie układających się pionowych odcinków muru.

Wchodzącego do wnętrza uderza ogromna, jednorodna przestrzeń nawy z rozpiętym nad nią, niczym nie podpartym, kasetonowym stropem. Rozwiązanie takie było możliwe dzięki zastosowaniu konstrukcji żelbetowej, z której Gawlik w swych budowlach konsekwentnie korzystał.

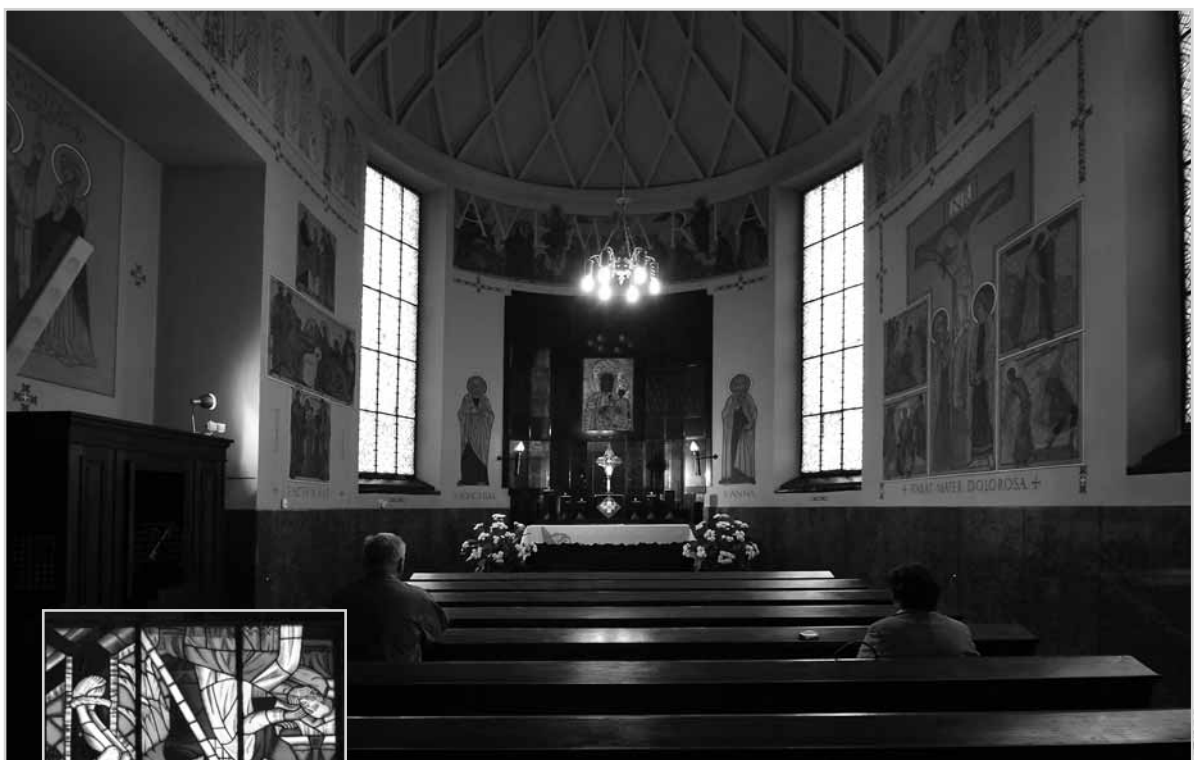
Kiedy po wojnie, w latach pięćdziesiątych, realizowano drugi etap budowy naszego kościoła, jego projekty miałem sposobność oglądać na dużej wystawie współczesnej sztuki kościelnej, zorganizowanej przez Katolicki Uniwersytet Lubelski.

Na zakończenie warto przypomnieć, że Gawlik w Częstochowie pozostawił więcej śladów swej działalności artystycznej. Otóż w archikatedrze według jego projektów wykonano ołtarz główny, stalle kanonickie i dwa trony biskupie. On projektował również nie zrealizowany kościół św. Jakuba, a w zbiorach Kurii Archidiecezjalnej znajduje się rysunek Głowy młodzieńca z roku 1942. Wszystko to za sprawą wieloletnich i bliskich kontaktów częstochowskiego ordynariusza Teodora Kubiny z architektem, którego biskup bardzo sobie cenił.

## Bibliografia

F. Burno, Zygmunt Gawlik (1895-1961) architekt katedry katowickiej, Katowice 2003

Archidiecezja Częstochowska, Katalog, Częstochowa 2005



Fotografie: Zbigniew Burda



# ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY

\* \* \*

Ceglana bryła charakterystyczną sylwetką znaczy miejską panoramę harmonijnie i zdecydowanie razem. Wysoką budowlę z wieżą dobrze widać z walców Jasnej Góry. Jest pierwszym częstochowskim akcentem widocznym przez chwilę między dwiema ścianami lasu, gdy się wjeżdża do miasta od strony Warszawy. Pojawia się też w perspektywie ruchliwej miejskiej ulicy jako jej konieczne dopełnienie. Wieńczy mocno wzgórze wąskich uliczek ze starymi domami, jeszcze przechowujące dawną malowniczość, a pod nie już podchodzą osiedla bloków. Wśród nich niestary, ale przecież od nich dawniejszy kościół ożywia pejzaż czymś odmiennym, znakiem duchowości, czytelnym, a związanym z codziennością. Wzniesiony w przemysłowej części miasta, architekturą noszącą znamiona swojego czasu, wiąże naszą epokę z historią. W tradycyjnej, a na nowo zinterpretowanej formie, kojarzącej się ze świątynią - z wyraźnie wyodrębnioną wysoką wieżą - ma wyraz nowy, który dobrze współbrzmi również z charakterem współczesnego miasta bloków i wnosi weń tak pożądane

urozmaicenie. Wieża zresztą w realizacji została pozbawiona kondygnacji środkowej, bo władze PRL nie zgodziły się, by była tak wysoka.

Zewnętrzna postać budowli pełna powagi i pewnej surowości, nie ma swojskiego ciepła barokowych kościółków, bliższa jest raczej gotyckiej katedrze, choć bez jej strzelistości, mocno związana z ziemią i z niej wyrastająca. Nawiązuje ceglаныmi elewacjami do form – dziś już zabytkowej – architektury przemysłowej, jednak nie upodabnia się do niej na siłę, ale już samą formą czytelnie mówi o swym sakralnym przeznaczeniu. A zielone światelko na oświetlonej wieży kościoła św. Antoniego na Ostatnim Groszu, jak zielone światło nadziei z jasnogórskiej wieży, wznosi częstochowską panoramę pod wieczorne niebo.

Święty Antoni z Padwy to patron powszechnie znany, czczony, popularny nie tylko z racji szczególnej funkcji - „patrona rzeczy zagubionych”. „Święty Antoni, święty Antoni, serce zgubiłam pod miedzą” - śpiewała przed II wojną Hanka Ordonówna. „Ach, co to będzie, święty Antoni, gdy się sąsiedzi dowiedzą!”

Jego gipsowe figury we franciszkańskim brązowym habicie, z małym Jezusem na ręku, z białą li-



Fot. Zbigniew Burda

# ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY

lią w drugiej ręce, stoją w wielu kościołach wraz ze skarbonkami na datki dla ubogich. Miłym akcentem uroczystości odpustowych 13 czerwca jest rozdawanie zebraniem „chlebków świętego Antoniego”. Miejscami szczególnej czci Świętego są też w naszej okolicy kaplica przed wejściem do bazyliki jasnogórskiej oraz sanktuarium w Koziegłówkach, z interesującymi także dla historyka sztuki wotami, świadectwami wdzięczności za wysłuchane modlitwy. „Jeśli cudów szukasz...”

W sanktuarium na Ostatnim Groszu Święty dzielił kult ze św. Teresą od Dzieciątka Jezus. Pamiętam dziwny napis wymalowany nad ołtarzem: „Św. Antoniemu Pad. i św. Teresie od Dz. J. - wdzięczne serca czcicieli” (skrót autentyczny!). Zapamiętałem wrażenie, jakie robiło wysokie, przestrzenne, jasne wnętrze, z dwiema ambonami po obu stronach ołtarza, jakby ustawionymi dla dysput teologicznych. Jedna to rzeczywiście ambona, na drugiej - tej nad wejściem do zakrystii - mieściły się początkowo sedille dla celebransa i asysty, co nadawało liturgii sprawowanej w tym kościele pewną indywidualną cechę. Celebrans tu właśnie zasiadał, gdy kaznodzieja głosił kazanie z ambony.

A przede wszystkim to, co decydowało - i decyduje nadal - o charakterze i sile oddziaływania wnętrza: wielkie witraże, całe ściany witrażowe, o bardzo bogatym i zróżnicowanym programie ikonograficznym

(życie Jezusa, Marii, św. Franciszka, św. Antoniego, sakramentalne życie Kościoła). Przy całej inności, gdy chodzi o rolę witraży we wnętrzu, nasuwa się skojarzenie z Sainte-Chapelle. Ciekawe, że w oficjalnych informacjach o parafii (także na stronie internetowej oraz w katalogu kościołów), próżno szukać wiadomości, kto jest autorem tych witraży, prawdziwych dzieł sztuki, choć można się dowiedzieć na przykład, za którego proboszcza założono miedziane ryny. Nie sądzę, by to było celowe nawiązanie do anonimowości średniowiecznych twórców. Tym bardziej więc trzeba przypomnieć Zofię Baudouin de Courtenay.

Wśród scen biblijnych i hagiograficznych na dole okna pojawiają się snopy - jak symbol dobrych uczynków zbieranych w ciągu ludzkiego życia. Sceny są objaśnione odpowiednimi cytatami, stanowiącymi integralną część kompozycji. Można zauważyć ciekawy szczegół. Jest tu chyba pierwsze witrażowe przedstawienie papieża Jana XXIII, dziś błogosławionego, wyniesionego na ołtarze przez Jana Pawła II.

Witraże działają mocno formą, światłem, kolorem i treścią. Dobrze więc, że miały we wnętrzu przeciwwagę, uspokojenie, w postaci dużych jasnych - w kolorze surowego tynku, później pobielonych - płyt figuralnych kompozycji Drogi Krzyżowej. Niestety, ostatnio poddano je zabiegom malarskim. Widać, że w historii sztuki sakralnej, obok pięknej polichromo-



Fot. Zbigniew Burda



# ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY

wanej rzeźby średniowiecznej czy barwnych rzeźb ludowych, pojawia się nowa kategoria, może nawet specyficznie częstochowska. Ktoś w przypadku kościoła św. Wojciecha nazwał owo działanie makijażem. Nie jest to, niestety, działanie na korzyść. Jakby tego było mało, duża biała gipsowa rzeźba świętego Antoniego w ołtarzu głównym została pomalowana na srebrno i złoto! (złota twarz). Trzeba na to zwrócić uwagę choćby dlatego, że jeszcze zostało w kościele trochę kompozycji rzeźbiarskich niepomalowanych, choć są już w wyraźnej mniejszości (na ambonie, w ołtarzach bocznych). Lepiej, by takie pozostały.

Projektant kościoła, znany architekt, a także malarz, rzeźbiarz i konserwator, autor m.in. katedry Chrystusa Króla i gmachu Kurii Biskupiej w Katowicach, kościoła w Niepokalanowie, kościoła i klasztoru augustianów w Krakowie, Zygmunt Gawlik, przykładął wielką wagę nie tylko do tworzenia samej budowli, ale i jej wnętrza, ze wszystkimi elementami (np. żyrandole). Duży wkład pracy we wnętrze kościoła wniósł przed laty także Włodzimierz Ściegieny. Namalował m. in. na desce obrazy do bocznych ołtarzy (obecnie oryginały znajdują się w kościele św. Brata Alberta). Jest on upamiętniony tablicą w kruchcie. Wyposażenie kościoła zwraca też uwagę artystycznymi sprzętami (oryginalna duża skarbona, świecznik pod paschał).

Kaplica Matki Bożej Częstochowskiej z kopią Cudownego Obrazu zawieszoną na tle czarnego marmuru dębnickiego, ze scenami z życia Marii oraz ślubami Jana Kazimierza, wykonanymi na ścianach w technice sgraffitto przez Marię Kozłowską i Zofię Szczerbę, służy teraz jako kaplica adoracji Najświętszego Sakramentu. Bardzo dobrze się do tego nadaje dzięki powadze i skupieniu swego wystroju.

Warto tu wspomnieć ks. Antoniego Godziszewskiego, który organizował parafię z upoważnienia biskupa Teodora Kubiny, a także kolejnych proboszczów: ks. Władysława Tomalkę, ks. Stefana Jastrzębskiego, który budowę kościoła rozpoczął; ks. Leona Stasińskiego, który doprowadził budowę do końca (konsekracji dokonał biskup Zdzisław Goliński w 1956 r.) i z wielkim zapałem prowadził prace przy wyposażeniu wnętrza; ks. Wincentego Kochanowskiego, dziś seniora pracującego nadal duszpastersko w parafii, który zbudował marmurowy ołtarz do odprawiania twarzą do wiernych i dwupiętrowy dom katechetyczny; ks. Stanisława Gębkę, dziś proboszcz archikatedry, który utworzył parafialną Caritas, jego też zasługą jest, że w parafii działa kuchnia św. Antoniego dla potrzebujących. W 1997 r. arcybiskup Stanisław Nowak nadał kościołowi tytuł sanktuarium św. Antoniego z Padwy. Obecnie proboszczem jest ks. Andrzej Oleś, poprzednio dyrektor Radia Fiat.

Przez 8 lat wikariuszem był tu ks. Zdzisław Hatlapa (dziś proboszcz parafii św. Brata Alberta). Wraz ze Stanisławem Pośpieszalskim odwiedzał panią Zofię Bauduoin de Courtenay, pamięta te wizyty dobrze - i swój podziw oraz wielkie zainteresowanie, jakie budziły w nim witraże u św. Antoniego.

Warto wspomnieć, że z parafii wywodzi się kilku księży, wśród nich ks. Zbigniew Zalejski, wikariusz parafii Najświętszego Ciała i Krwi Pana Jezusa, zajmujący się też utworzonym przez biskupa Antoniego Długosza ośrodkiem terapeutycznym dla uzależnionych od narkotyków „Betania”.

Na murze ogrodzenia, wruszając naiwną prostotą mozaikowe sceny z życia św. Antoniego. Trochę szkoda, że wokół kościoła drogę procesyjną wybrukowano kostką betonową, nie licuje też z obiektem nieciekawym niski budynek od strony północnej placu kościelnego. Niepotrzebnie cokolwiek kościoła pokryto mozaikowym tynkiem. Natomiast nowe frontowe ogrodzenie jest próbą artystycznego dostosowania do szlachetnego charakteru elewacji ze spatynowanej przez czas, ściemniałej czerwonej cegły, z okazałymi okutymi drewnianymi drzwiami i rzeźbą św. Antoniego głoszącego kazanie rybom, według znanej opowieści.

W parafii pracują siostry zakonne ze zgromadzenia sióstr służebnic Najświętszego Serca Jezusowego (sercanki). Wśród wspólnot apostolskich najliczniejsza jest Rodzina św. Antoniego. Żywy Różaniec składa się z 15 róż. Jest III zakon św. Franciszka, Akcja Katolicka, Wspólnota Miłosierdzia Bożego, Bractwo Najświętszego Sakramentu, chór i grupy młodzieżowe. Takie informacje można przeczytać na stronie internetowej.

Na terenie parafii działają przedszkola i szkoły. Dyrektorką katolickiej szkoły podstawowej i katolickiego gimnazjum jest siostra Irena Makowicz, osoba od lat w Częstochowie znana. Brała aktywny udział w życiu religijnym - i w ogóle kulturalnym - działając w Klubie Inteligencji Katolickiej. Później, po wstąpieniu do zakonu, idąc w ślady św. Urszuli Ledóchowskiej, kierowała szkołą w Pniewach - i znów do Częstochowy powróciła.

Chciałbym wspomnieć jednego z parafian świeckich, którego znałem i którego przyjaźnią się cieszyłem: Jan Mazur, człowiek niezwykle serdeczny, ciepły, życzliwy. Z zawodu krawiec - a równocześnie artysta malarz, traktujący swoje malarstwo bardzo poważnie, starający się nadać mu cechy indywidualności. Z przyjemnością opowiadał o udziale przed laty w plenerach z „chłopcami zawodowcami”. W swoim środowisku bardzo lubiany i ceniony, o czym świadczy choćby wysunięcie jego kandydatury do nagrody Prezydenta Miasta Częstochowy.

*Władysław Ratusiński*

**Aleksander Wierny**  
**DO DNA**

Spływ skleconą amatorsko tratwą był początkiem wszystkich przygód i dla wielu z nas pozostał największą przygodą. Później, kiedy już dorośliśmy, żadna wyprawa, żaden sport ekstremalny, nowa posada ani rozwód nie były tak ekscytujące i doniosłe.

Najpierw szukaliśmy budulca, zgubionych przez robotników kłoców drewna, podkładów kolejowych, fragmentów ogromnych palet, desek, wszystkiego tego, co można było znaleźć przy fabryce papieru, a co mogło posłużyć do skonstruowania wodnego wehikułu, który musiał być sprawny tylko na tyle, żeby się oparł leniwemu nurtowi kanału Kohna.

Ktoś przyniósł z domu gwoździe, ktoś wykradł ojcu z garażu młotek. Stocznię urządziliśmy na błotnistym brzegu, za starymi garażami. Deski i drewniane kłocze szybko nasiąkały wodą, zamulona woda przelewała się przez pokład, lecz bez wahania chwytałyśmy długie kije, odbijaliśmy od brzegu i wypływalimy aż na sam środek kanału. Mozolnie zmagaliśmy się z nurtem, bo zawsze próbowaliśmy płynąć pod prąd, wtedy jeszcze nieświadomi metaforyczności tego wysiłku – po prostu w milczącej zgodzie, w półświadomie uznaliśmy, że prawdziwi marynarze nie mogą postępować w inny sposób. Mieliśmy przecież po kilkanaście lat.

Od czasu do czasu z brzegu rozlegały się krzyki rodziców, którzy bali się, żebyśmy nie wpadli do wody, albo wrzeszczał ktoś z papierni, z przeciwnego brzegu, komu przyszło akurat do głowy, że moglibyśmy przeprowadzić desant i zacząć rabować zakładowe mienie. Dorośli machali gwałtownie rękami i próbowali nas do siebie przywołać bądź przepędzić, ale dopóki utrzymywaliśmy bezpieczny kurs płynąc środkiem kanału, byliśmy nietykalni i nie podlegaliśmy żadnej jurysdykcji, jak korsarze w zamierzonych czasach. Oczywiście kiedyś musieliśmy zakończyć nasz rejs i czekała nas wtedy bura od rodziców, albo awantura urządzona przez nadgorliwych pracowników, byliśmy jednak gotowi na takie poświęcenie.

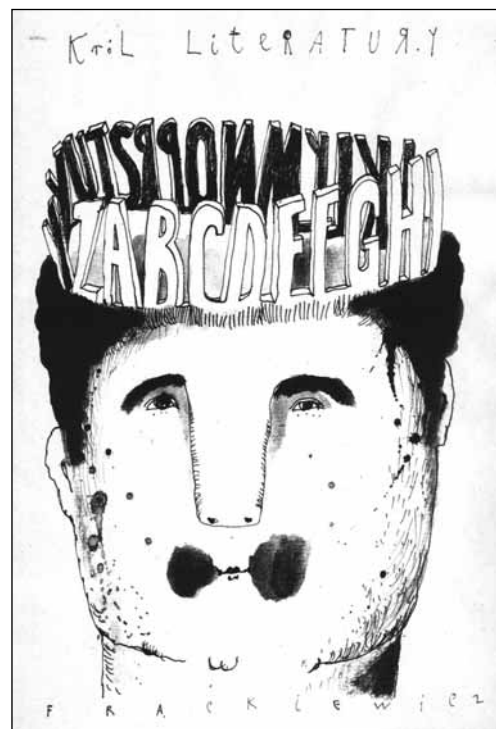
Piracka przygoda zakończyła się jesienią, gdy jeden z nas ześliznął się z tratwy. Byłem wtedy na pokładzie, widziałem dokładnie: poszedł pionowo pod wodę, wsunął się w nią gładko i bezdźwięcznie, nie zdążył nawet krzyknąć, bo był zbyt zdziwiony. My, czyli cała widownia: ci, którzy znajdowali się akurat na wodzie oraz ci, którzy czekali na swoją kolej na brzegu, my również nie posiadaliśmy się ze zdumienia.

Pechowy żeglarz bowiem nie zatonął. Trzymając się z głupią miną tratwy spokojnie stał po pierś w mu-

listej, zimnej wodzie, gdy tymczasem byliśmy pewni, że utrzymując się na śliskim pokładzie walczyliśmy zarazem o życie. Wmawialiśmy sobie, że pod omszałym pokładem tratwy rozciąga się głębia, bo przecież tylko wtedy nasza przygoda mogła być prawdziwą przygodą. Zarazem wiedzieliśmy mniej więcej, jaką głębokość ma kanał Kohna, w zmaganiach z prądem posługiwaliśmy się kijami określonej długości, którymi odbijaliśmy się od dna. Głowa naszego towarzysza wystawała jednak nad powierzchnią, chłopiec zrobił nawet przysiadkę do przysiadu, jakby chciał zdobyć ostateczną pewność i jeszcze raz potwierdzić to, z czym z ociąganiem musieliśmy się pogodzić, ale w ostatniej chwili się pohamował. Wspiął się na tratwę i wskazał brzeg. Gdy dopłynęliśmy, wyskoczył szybko i powlókł się w stronę domu, ociekając wodą i kuląc się pod uderzeniami porywistego wiatru.

Tratwa została przy brzegu, zostawiliśmy ją bez słowa i nikt już się do niej nigdy nawet nie zbliżył. Przyszła zima, kanał zamarł i uwięził ją na kilka miesięcy. Zniknęła podczas jesiennych roztopów, zabrała ją wezbrana woda.

Dziś, ilekroć w zasięgu wzroku pojawia się rzeka, przyglądam się jej uważnie, a jeśli mogę, lustruję przybrzeżne krzaki, przeczesuję sitowie, bo mimo wszystko jest jeszcze we mnie wiara, że tratwa ciągle istnieje. Czeka gdzieś, aż stanę na pokładzie, odbiję od brzegu i znów będę wolny i niepodległy, nie myśląc o mulistym dnie tuż pod stopami.



Rys. Jacek Frackiewicz

## Cezary Nowakowski KSENIA

Bachora zrobił mi Czesiek albo Szeryf. Albo Bulion. Cholera zresztą wie, który. Zrobili mi i koniec. Gdzieś w krzakach czy na półpiętrze bramy. W pośpiechu pijackiego dupczenia, bez durnych słów o kochaniu, o przyszłości.

To nieważne. Był z tego brzuch i potem dzieciak; tylko to się liczyło.

A liczyło się ciągle, na wspak. Do minusa. Nie było mnożenia. Samo dzielenie i pieprzone odejmowanie, do usrania. Ja tam zresztą w tym rachowaniu mocna nie byłam i dopiero z czasem pojęłam, że bez kombinowania to daleko nie ujadę, że zawsze będę tyłka dawać.

Na robotę więc poszłam do kuchni, do mlecznego w III Alei. Nie to, że gary lubiłam. Podezreć można było i do chałupy, dla dzieciaka przynieść. Nie poznała jednak Mała jak pachną żeberka czy bigos na kozłakach, bo tam, w garkuchni grochowa i leniwe za luksus robiły. Ale krzywdy nie było.

W tym barze to ja się wymowna bardziej zrobiłam. Nieraz bywało, że jacyś młodzi przyszli i dla hecy solą po oczach sypali czy pluli do talerzy. To wtedy kasjerka wołała: Ksenia, cho no tu! A ja tak jak stałam od tych garów, skrobaczek i zmywaków leciałam na salę i pierwszemu z brzegu w kły waliłam. Z piąchy, bez trzymanki.

Nie powtarzałam, nie trzeba było. Kasjerka to nawet mówiła, że dobitna jestem.

Raz to się afera zrobiła, bo walnęłam niewinowatego. Ale się jakoś uładziło, bo był lekko wcięty. A z chłopakami z MO umowa stała, że jak gość napiyty, to i awanturujący. I takiego prac można było.

Żreć było co, ale za panienki to ja i kaprony chciałam se kupić i kieckę jakąś.

A kielicha też lubiłam do poduchy walnąć. Tylko za co? Młoda byłam, to i głupia. Nie to, że pochłać lubiłam, ale że myślałam, że można tylko za swoje.

Myłam kiedyś schody na klatce – sami widzicie jaka głupia byłam – a tu idzie ten ubek, Roi. Idzie kutwa dziwnym swoim krokiem, jakby się bał, że mu wypadnie te 50 groszy półdupkami ściśnięte. Gęba blada, jak to u niego, przesłonięta ciemnymi zorkami (też takie miałam na niedzielne spacerki po słońcu). No to mu mówię: schody te se chociaż popijają. I chłast mokrą szmatą o stopień. A ten dupek tylko coś syknął i polazł dalej do siebie, na czwarte. Ale następnego dnia przyniósł mi bełta, na wycieraczkę postawił. Tak nosił – bez słowa – raz, dwa razy w miesiącu przez

następne 15 lat. Skąd brał i za co dawał – nie wiem. Pewnikiem do kobit słabość miał, ubol jeden. Albo myślał, że ja – niedoczekanie – kapować będę.

Ja tam się do cudzego nie łądowałam w kaloszach, a do swojego nie pozwalałam. Jak trzeba było, to i gipsem złamanej ręki potrafiłam kawę z nosa puścić natrętom. Moje to moje i wara innym od niego.

To moje to byłam ja, no i Mała. Moje było też to, co skubnęłam i co gębą – jazgotem czy biadoleniem – wywalcowałam od innych. Ale do roboty to byłam tylko ja.

Ja dodawałam. Mała odejmowała – najpierw sranieniem w pieluchy, rykiem po nocach, później świętoszkowatym, głupim gadaniem. Skąd się u tego dzieciaka brało takie durne kombinowanie? O miłości bliźniego, o dzieleniu się ostatnim gryzem chleba, o miłosierdziu, o równości. W kogo się ta cholera wrodziła? W Cześka, Szeryfa, w Buliona?

Człowiek kombinował jak koń pod górę, a po przyjściu do domu od razu był chrzczony deszczem wody święconej.

I w końcu mnie tknęło. Mała podłapała, wstyd powiedzieć, krętka komunizmu. Tego syfa wymyślnego niby dla ludu, przez tych, co to niby też z ludu. Nie mogło inaczej być. Mówiła mi kiedyś z wypiekami na twarzy, jak to razem z Marcepaną przez pięć godzin oglądała w telewizorze jak przemawia Filet Kastro. Ależ chłop miał gadane! I to od niego – ani chybi – tego bladziocha załapała.

Trzeba było działać, by tę arytmetykę odkręcić. Niby za jakie grzechy, to ja miałam paść moim chlebem i moim smalcem wszystkie dzieciaki z podwórka? Niby to dla nich łapska sobie urabiałam?

Był u nas taki Kuba, mieszkał w tym starym domu za ogrodem. Chłopak mikry, przyszczaty. Mówili o nim, że żadnej dziewczynie nie przepuścił. Pomyślałam, że ten mi się nada, że nada się mojej Małej. Bo złe z głowy najlepiej się wybija waleniem w tyłek. A Małej już prawie piętnasty rok szedł i czym prędzej tego Fileta trzeba było wybić. Łapami Kuby i jego fujara.

Pryszcz dał sobie radę, Mała niespecjalnie. Ryczała całymi dniami. Chowala się do szafy, nawet żyletką chciała się pociąć. Głupia!

Ale skoro się chowała to widać mus taki miała. Ciszej w chałupie było. A ja mogłam Santorki posłuchać na kolibrze, na tym co go Kuba w podzięce przyniósł. Przynosili potem i inni. Ten worek ziemniaków, tamten botki filcowe podprowadzone ze sklepu. Trochę trefne, ale galante. Niech to szlag trafi – cholernie trefne, bo czerwone.

Do Małej przylazł nawet ten ochlaptus Bulion. Mała przecież nie jego (Szeryfa? Raczej Cześka. Cholera wie zresztą którego!). Ten jednak nic nie przyniósł. Przeciwnie. Wyniósł mój tranzystor. I znów nie

miałam jak tej Santorki słuchać. Bulionowi zresztą przejechałam się pazurami po ryju, a z łokcia wytrząsałam mu dwa ostatnie spróchniałki. Przez miesiąc nie mógł nic do gęby wlać. Tak go piekło. Ale radio wciąło na amen.

Mała porykiwała, bladła i milczała. I tym milczeniem doprowadzała mnie do delirki, bo i jak się kłócić z niemotą? W końcu miesiąc po tym jak jej szesnasty rok minął, w świat poszła. Na swoje.

Przez następne 17 lat to ja już tylko mnożyłam, a ludzie jeszcze dodawali. Gotowania miałam dość, rzuciłam więc tę robotę. Do baru przychodziłam tylko po to by podjąć to co dziewczyny z kuchni zostawiły. Później, gdy i one odeszły, zjadałam to co na talerzach zostawiali konsumenci. Za darmochę.

W niedziele oblatywałam piętra naszej klatki schodowej, trochę pojęczałam, pobiadoliliam i zawsze ktoś zupy ulął i ziemniaków dołożył. A to Pola, która za ścianą męża obijała, a to Malina Kaczkowska (oj, prawdziwie święta osoba!), a to Marcepana. Grosza nie wydawałam i dobra w domu przybywało. Trochę znaleźnego, trochę wypłakanego.

Tak było przez 17 lat, ale się usrało, bo naszło mnie kochanie.

Michasia spotkałam. Tego Michasia co to go ludzie za pierdolniętego mieli. Może i on nie najmądrzejszy był, z dziećmi lubił się bawić w piaskownicy i na huśtawkach. Na gitarze grać. Ale świata to on poza mną nie widział, tak mu się porobiło. Oj, dobry był ten Michaś. Robotny, niekłopotny. I jadł tyle, co wróbel deszczową porą.

A wieczorem i w nocy tak potrafił mnie poobrać, że mimo pięćdziesięciu siedmiu wiosen na karku świat lepszym widziałam i falbanek przy kieckach mi się zachciewało. Niby głupi, a swoje robił. I to jak!

Robił, robił, ale że i głupi był - to pewne. Podjadłam se raz zupy, coś jakby skiśnięta z lekka była. No i wzdęło mnie jak indorzycę. Poleżę w betach to mi przejdzie - myślę. Ale nie przechodziło. Żurać mi się okrutnie chciało. No to wołam tego ciamajdę Michasia i mówię mu niby przymilnie o tym brzuchu, o tym że nazbyt pofolgowałam i że za zaraz, już niedługo, za chwilę... Nie dokończyłam.

Przejęty Michaś pognął do Marcepany, do telefonu. I już po chwili meldował w słuchawkę dyżurnej z pogotowia: - Żona rodzi! Tak, natychmiast! Która ciąża? No pierwsza, chyba. Ile lat? Pięćdziesiąt siedem, tak skończone pięćdziesiąt siedem.

Przyjechali na syrenie i na światłach, a jakże. Przyjechali z noszami, z tlenem w butli nawet. Po schodach, na trzecie biegli galopem. Ale z powrotem to już powoli schodzili, a ryk ich śmiechu po dziś dzień mam w uszach. Na dodatek po drodze gapiom opowiadali o wszystkim. Miesiąc później Krzyś, syn Poli, tak wstrzymywał śmiech na mój widok, że gdy

już popuścił, powietrze z brzucha wystrzeliło mu nosem wraz z zielonym, półmetrowym gilem. Wargę nim sobie przytrzasnął i pasek od spodni zafajdał. Taki był wypasiony ten gil.

Jak już Michasia pogoniłam, to potem już tylko Łezka była. Poczcziwe kundlisko co to mojego dobra pilnowało. A pilnować trzeba było ciągiem. Wiadomo, ludziska zachłanne są na cudze. Nosiłam więc ze sobą to co najlepsze, najwartościowsze. W reklamówkach, w parcianych siatkach, w skajowych torbach. Mocna w rękach przecież byłam. Śmiali się ze mnie żem dziadówka. Szemrali, że z chałupy śmierdzi, że robale wylażą. Wystarczyło jednak warknąć, a cichli. A to, że w domu gęsto tylko mnie cieszyło. Moje to było. Od podłogi po sufit utkane. Wyrwane, wyproszone, zdobyte. Miejsca mi trzeba było tyle tylko, bym mogła się w telewizor pogapić. W to wymarzone, uciulane pudło z innym światem za szybą. To przy nim se mogłam popłakać, pomarzyć nawet.

I jeśli mi czegoś brakuje w tym szpitalu, to właśnie mojego pudła. Jego dźwięku, koloru, obietnic. Trzymają mnie tu na ryżu i wodziance z marchwi. I wyje mi w kiskach. Ale nic to, wieczorem se podjem smażonki grzybowej, co mi ją Pola przyniosła w blaszance. Czeka na mnie w szafce, ukryta przed gałami oddziałowej. Ta by mordę darła. Niedoczekanie! Podjem se, moje to przecież.

-----

Z łaski Twej Panie i z przyzwolenia Twego jestem tu, choć mnie nie ma. I widzę - bez oczu - rozpacz mojej Małej; jej plecy skulone, dłonie bezradne. I drzę, choć niebytem jestem, gdy czytam:

Śp.

**Ksenia Sobieraj**  
1938 - 2005

odeszła w straszliwych cierpieniach ciała  
moja najukochańsza Mateńka, o której pamięć  
żyć zawsze będzie we mnie.

Bogu Najwyższemu duszę Jej polecam!  
Nie szczędź Jej Panie swej miłości!

*Córka z rodziną*

I słyszę ten płacz, choć bez uszu. I kocham, kocham, kocham, choć serca też już nie mam.



**Elżbieta Hurnikowa**

## **Elżbieta Cichła-Czarniawska w Domu Poezji**

16 lipca w Domu Poezji - Muzeum Haliny Poświatowskiej odbyło się spotkanie z Elżbietą Cichłą-Czarniawską, która przybyła na zaproszenie Muzeum Częstochowskiego i miejscowego oddziału Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza. Spotkanie to było znakomitą okazją do przypomnienia sylwetki twórczej pisarki. Elżbieta Cichła-Czarniawska jest autorką kilkunastu zbiorów wierszy, kilku powieści, prac literaturoznawczych, eseistką; opatrzyła także wstępem dokonane przez siebie wybory wierszy Kazimierza Wierzyńskiego i Juliana Tuwima.

Spotkanie rozpoczęła rozmowa na temat poezji, najważniejszego obszaru twórczej działalności autorki *Zamurowanej dziupli*. Dotyczyła początków pisania, znaczących inspiracji literackich kształtujących wyobraźnię i warsztat poetycki, trudnej drogi dochodzenia do własnej definicji poezji. Szczególnie inspirująca była dla poetki liryka Józefa Czechowicza, katastrofisty i wizjonera, Rainera Marii Rilkego, wyrażającego tragizm egzystencji, Wisławy Szymborskiej, skupionej na problemach sensu i celu ludzkiego bytu. Wiersze Elżbiety Cichli-Czarniawskiej ujmują w materię liryczną sprawy fundamentalne, dotyczące istnienia i sfery najważniejszych dla człowieka wartości. Pojawiają się w nich motywy zaczerpnięte ze świata sztuki, z mitologii, a przede wszystkim przyrodnicze: ptaki, zwierzęta, rośliny. Są one obdarzone szczególnym znaczeniem, współtworzą złożoną symbolikę tej liryki, wzbogacają jej treści i przesłania, uosabiają to, co niewyrażalne:

*mądra sowo  
z zamurowanej dziupli  
szukasz istoty rzeczy?  
daremnie kręcisz głową  
gdy rzecz istotcie przeczy* (wiersz zagrożenie)

Do dorobku poetki, która - warto przypomnieć - ukończyła filologię polską na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim i uzyskała doktorat na Uniwersytecie Łódzkim, należą także publikacje poświęcone twórczości wybranych pisarzy: związanego z Awangardą Krakowską Jalu Kurka, urodzonego w Kłobucku autora wizjonerskich wierszy - Władysława Sebyły, współczesnego poety i prozaika Zdzisława Tadeusza Łączkowskiego. Elżbietę Cichłą-Czarniawską fascynują różnorodne osobowości twórcze, różne sposoby kreowania poetyckiego świata, problematyka filozoficzna zawarta w utworach badanych pisarzy, tajemnice warsztatu artystycznego.

Poetka przedstawiła także swoje związki z Częstochową, w której przez wiele lat pracowała w szkolnictwie. Do Domu Poezji przybyli dawni znajomi i przyjaciele z tego okresu, dzięki czemu spotkanie przybrało charakter „rodzinnych” wspomnień i potwierdziło jeszcze raz fakt, jak ważne są te więzi, które buduje przyjaźń i ludzka pamięć.

*Prowadzenie spotkania: Elżbieta Hurnikowa, prof. A.JD, członek częstochowskiego oddziału Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza*



Fot. Zbigniew Myga

## Adam Królikowski

### Powetowane straty

Wykruszają się nasi przodkowie  
 Jak zużyte zęby  
 Albo jak zmurszałe pnie  
 Z których wysypuje się czas

Kiedyś mieli kły  
 Którymi pożerali swe małe  
 Gdy były chore niczyje  
 Bądź też zagryzali się nawzajem

Potem zaczęli kłapać na siebie  
 W niezdarnych dyskusjach  
 Przy ogniu pod niebem  
 Aż zjawił się Adam

On stłumił płomień dysputy  
 Zaś jego małomówni synowie  
 Rzucili się sobie do gardeł  
 Prowadząc rozmowę na noże

Ulepszono je z czasem  
 A przodkowie stali się lepsi  
 Zaczęli uprzedzać się radiem  
 Przed skoczeniem sobie do oczu

Dziś już ich nie ma  
 Wykruszyli się wytrzebili nawzajem  
 Zostało po nich tylko wspomnienie  
 Pamiętniki i instrukcje dla wnuków

2003

### Liniuszek akwamaryna

Liniuszek akwamaryna  
 To chciałbym teraz opisać  
 Ma rąbek mokry od łez  
 Lecz nie od płaczu dziewczęcia  
 Tylko od łez z cytryny  
 Od jednego w oko psiknięcia  
 A oczy ma ciemne jak pierś  
 Murzyna co w dzień pod pokładem  
 A piersi jej jasne jak świt  
 Gdy z nocy zasłona opada  
 Dlatego w mym ręku się żółci  
 Cytryna na samą jej myśl  
 Piękna to była dziewczyna  
 Z liniuszkiem akwamaryna

*Adam Królikowski* – ur. 1968 w Częstochowie; pisarz, autor około 50 publikacji: książek, szkiców literackich i filmowych, artykułów naukowych i przekładów. Publikuje również pod nazwiskiem Adam Key. Bliższe informacje biobibliograficzne można znaleźć w: *A. Key, Cizia i jej Widzimię* (2003), oraz *Poeci Częstochowy i okolic* (2003). Zajmuje się ponadto filologią i mitologią celtycką, a także filmem. Doktor nauk humanistycznych w dziedzinie filozofii i lingwistyki. Obecnie za granicą.

## Olga Maria Bąkowska

### Podarunek

Dziękuję że  
jesteś głodem  
i pragnieniem  
czynem i myślą  
słowem i  
milczeniem  
drogą do winnicy  
i winobranieniem

dziękuję że jesteś

*Śrem 07.12.2007 r.*

### Toast

Za nasze rozmowy  
za śpij spokojnie  
za słuchaj dziewczeczko  
za wznieconą iskrę  
za to że jesteś  
że jesteśmy i za to  
że chwilami nas  
nie ma

*grudzień 2007 r.*

### Hellada

Istniała  
a może to  
bytu złudzenie  
była cichym  
zapomnieniem losu  
teraz mówią  
ma  
szczęście w oczach  
bohema ją odmieniła

a ona  
dziergany za dnia  
płaszcz  
przestała pruć  
po nocach  
nie szukała  
swojej Hellady  
a ją odkryła

*Śrem, 07.12.2007 r.*

## Olga Maria Bąkowska

### Jestem

nie palę kadzidel  
u Twoich ołtarzy  
nie zanoszę pieni  
nie byłbyś  
Panem bytu i niebytu  
gdybyś  
hymnom dał posłuch  
jeżeli jesteś  
Mocą jesteś Świtu  
Wielkim Milczeniem  
Siłą Sprawczą Losu  
nie Tobie słowa  
niedoskonałe  
lecz myśl świetlista  
i czystość uczucia  
nic nie ukryję  
przecież mnie znasz  
małą  
widzisz pęknięcia  
i ślady zepsucia  
i ciągle zmagania  
z życiem i  
o życie

wesprzyj

Katowice 06.05.2007 r.

### Pokusa

A może wejść  
pomiędzy drzewa  
pulsujące czerwienią

po latach  
grzesznie rwać  
wiśniową soczystość  
i sycić się nią  
prosto z drzewa

grzesznie  
bez skruchy

może

**Olga Maria Bąkowska** - z urodzenia (1940) Kaszubka, z wyboru (od 1961) częstochowianka. Wykształcenie ekonomiczne. Pracowała jako nauczyciel akademicki w Politechnice Częstochowskiej. Wiersze zaczęła pisać po przejściu na emeryturę. Związana z klubami literackimi: „Złota Jesień” przy OPK Gaude Mater, „Metafora” Klub Nauczycielski przy Oddz. ZNP, „Fraszka” na UTW przy Politechnice oraz z Nauczycielskim Klubem Literackim w Katowicach. Publikowała w prasie lokalnej, środowiskowej oraz w wydaniach książkowych: *Pisane szeptem* (2003), *Uroda czasu* (2004), *Samotna brzoza* (2007), a także w kilkunastu wydaniach zbiorowych, w tym dla dzieci.



## WIEJSKIE WAKACJE...

Zbislaw Janikowski

*Ostatni szkolny dzwonek... A może rozchodziliśmy się do domów ot tak, bez dzwonka, bez żadnych refleksji, które teraz, po latach pompatycznie przypisuje się uczniom rozpoczynającym wakacje.*

Już wolne, od jutra śpimy do woli (nieprawda), robimy to, na co mamy ochotę (nieprawda), mamy bardzo dużo wolnego czasu (nieprawda). Rygorów, nakazów, zakazów, poleceń, pouczeń – jeszcze więcej, mamy przecież wolne, wakacje, więc więcej czasu na strofowanie, napominanie, przypominanie. A mimo to jest wspaniale...

Moje niegdysiejsze wakacje rozpoczynałem, zaraz po rozdaniu świadectw i zjedzeniu obiadu, wizytą na basenie (o ile nie łało), a potem już następnego dnia był wyjazd na wieś, do babci. Kończyły się zaś najczęściej powrotem niemal w ostatniej chwili, na dwa, trzy dni przed rozpoczęciem nowego roku szkolnego.

Mama pakowała ubrania (zbyt wiele tego nie było potrzeba), kanapki na drogę, koniecznie co najmniej dwa jaja na twardo, termos z herbatą (na dworcach prawie nie było bufetów ani kiosków, a o żadnych chipsach, pizzach, gofrach, cocach lub pepsi nikt nawet nie słyszał). Dorożka, jedziemy na dworzec, pociąg osobowy (były też pociągi pośpieszne, ale nie na tej linii), wagon trzeciej klasy (była jeszcze druga i teoretycznie pierwsza), ze dwie godziny do pierwszej przesiadki (a były jeszcze dwie), wreszcie mała wiejska stacja. Przed stacją wóz zaprzężony w gniadego i oczywiście siedzący na desce imitującej kozioł, dla wygody owiniętej derką - wujo. Za wujem paradne siedzenie, czyli worek wypchany świeżą słomą, tył wozu też wymoszczony słomą, miejsce na bagaż, paradne siedzenie zostawiam mamie, sam moszczę się na desce – koźle obok wuja, tuż z a końskim zadem. Wio! Jedziemy, dojazdową drogą do szosy, obsadzonej ogromnymi drzewami, wiekowe wiązy pamiętają jeszcze dawne czasy zwykłej szutrowej drogi, która tuż przed wojną zmieniła się w solidną betonową. Pusto, pamiętajmy, że transport samochodowy jest w powijakach, na tej szosie dostaje od wuja lejce, mogę powozić - radość i duma, który z chłopaków z podwórka może dostąpić takiego wyróżnienia? Turkot okutych stalowymi obręczami kół na dylatacjach betonowych płyt szosy, równomierne, rytmiczne kłapanie końskich podkó, ostre zapachy końskiego potu, przeciągłe wujowe – wioooo... Powtarzam takie samo, a przynajmniej tak mi się zdaje. Wreszcie zmiana rytmu, bruk podjazdu, drewniana otwarta brama...

Jesteśmy na miejscu, jeszcze powitania, ucałowania, wieczne uwagi, – ależ on wyrósł, co u was... paradny pokój, powitalna kolacja, półmisek „praw-

dziwych”, jaja na twardo (zapach ich tak jak i zapach końskiego potu do dziś świdruje w nosie), biały wiejski chleb, wiejskie masło (znowu zapachy), gorące mleko (od krowy, a nie z kartonika i znowu zapach), naftowa „filująca” lampa (zapach nafty), wieczorny spacer za dom, na łąkę (zapach), w obejście (ostre zapach)... Pokój do spania: dwa drewniane łóżka, dla mnie i kuzyna, zapach kopiałego wypchanego świeżym tegorocznym sianem siennika, coś w nim szeleści, chroboce, rozmowa urywa się po kilku słowach, śpimy.

Ranek, Andrzej już na dworze, jednak zaspałem, poranny gospodarski przegląd obejścia, śniadanie – mleko, wiejski chleb, jajecznica na maśle, po dwóch lub trzech tygodniach menu wzbogaca się o kiszony ogórek (zapach) z babcinego ogródka i przepyszne sę-kate, niekształtne pomidory (zapach).

A potem zabawa, bieżanina po ogrodzie (na wszystkich drzewach jeszcze guguły), porzeczek zielone, agrest niemiłosiernie cierpki i kwaśny, wiśnie zielone, ale są pierwsze maliny, wkrótce dołączają papierówki, oczywiście robaczywki, słodkie i soczyste, stuprocentowa pewność, że niepryskane (kto wtedy przyskał drzewa), dziś powiedzielibyśmy - ekologiczne.

Wkrótce pojawiają się wiejskie obowiązki. Babcia wydaje polecenia, trzeba słuchać i wykonywać. Słońce już wysoko, chłopcy, na łąkę spędzić krowy do obory - zostawiamy zabawę, idziemy, pędzenie krów (aż dwóch) to też zabawa. Chłopcy, czy jajka zebrane – to dopiero zabawa, w kurniku duszno i śmierdzi, tu łatwo i szybko, ale wiejskie kury mają też inne zwyczaje, niosą po kątach, w przez siebie założonych gniazdach a te potrafią sprytnie ukrywać. Babcia i Andrzej znali kurze fortele i wiedzę swą umieli wykorzystywać niemal bezbłędnie wskazując kryjówki. Na przykład taka „siemieniatka” (te kury były najbardziej przedsiębiorcze) po zniesieniu jaja nie kryła swej radości i preraźliwie głośnym gdakaniem zdradzała miejsce ukryte w stodole, w głębokich pokrzywach, na strychu lub pod schodami. Ten zwyczaj kurzego chwalenia się ułatwiał tropienie, zresztą zajęcie ze zbieraniem było też dobrą zabawą. Największą sztuką było odnalezienie jajek zniesionych przez perliczki, te spryciule też darły się preraźliwie swoim wysokim „psia-krew, psia-krew”, robiły to z dala od ukrytego gniazda, ale my dwaj – tropiciele – radziliśmy sobie i z tym problemem. Najcenniejszymi trofeami tych poszukiwań były właśnie perlicze jaja, małe, w cętkowanych ciemnych a twarde jak kamienie skorupkach, ugotowane na twardo miały żółtka w czerwonawym kolorze o niespotykanym smaku i zapachu oraz jaja kurze z podwójnymi żółtkami, te zjadaliśmy na kolacje, nie dość, że były smaczne same w sobie, ale dzięki swej odmienności stanowiły dodatkową atrakcję. I odwieczny wiejski problem – kury, w których obudził się instynkt macierzyński, w tajemnicy przed całym światem budowały swoje gniazdo, znosiły swoje jaja i wysiadywały swoje pisklęta. Poszukiwania takiego kurzego zbiega nie zawsze przynosiły rezultaty i pewnego pięknego dnia kwoka pojawiała się dumna i błada prowadząc za sobą małe puchate żółte lub pstrokaty kuleczki. Gdy

już ujawniła swe potomstwo całemu światu, musieliśmy zadbać o przychówek. Nie było to łatwe. Kurze maluchy odżywiały się początkowo tylko drobno posiekany jajem na twardo, a ja na zmianę z Andrzejem przygotowaliśmy im te posiłki, ponadto kilka razy w ciągu dnia poszukiwaliśmy zagubionych w krzakach i chaszczach samodzielnych małych wędrowców, całe tałatajstwo zaganiali na noc do sieni gdzie spały razem z kwoką w wielkim tekturowym pudle, a jak dobrze poszło, pod koniec wakacji najbardziej wyrośniętego „kuraka” wcinaliśmy na niedzielny obiad.

Południowy skwar przeganiał nas w miejsca zacienione, najwspanialsza była chłodna, wręcz zimna w największy upał ziemna piwnica. Stamtąd jednak zaraz nas przeganiał, piwnica stanowiła bowiem domową chłodnię a nasze zabawy rozhermetyzowały ją, ba, wprowadzały zagrożenie dla zgromadzonych tam produktów w postaci wszechobecnych i wścibskich wiejskich much. Przenosiliśmy się pod mostek pod szosą, którą po deszczach płynęła struga wody do niedalekiego stawu, a w letnie upały w wysychającej kałuży mieszkała jedna zaprzyjaźniona żaba i kilka kijanek. Po tej zabawie była zazwyczaj mała burza, bo niemiłosiernie ubłoceni i umorusani nadawaliśmy się wyłącznie do renowacji.

Wakacyjnych obiadów nie pamiętam, może z wyjątkiem niedzielnych z najprawdziwszym wiejskim rosółem i pieczonym kogutkiem, który jeszcze kilka godzin wcześniej dumnie przechadzał się w stadzie kur zadając szyku swym młodzieńczym wyglądem. Obowiązek

złapania nieszczęśnika był oczywiście naszą powinnością, wytypowaną babcinym wskazaniem sztukę tropiliśmy i gonili aż do skutku; trudno powiedzieć, kto był bardziej zmęczony, kurczak na pewno zestresowany, my tryumfujący, a obiad wspaniały! Gratis dostawaliśmy lśniące pióra z koguciego ogona, które jak nakazywała nasza skromna wiedza o Indianach, miły stanowiły najwspanialszą ozdobę pióropusza.

Obiad wymuszał następne obowiązki, podbierania a później wykopywania młodych ziemniaków, zbierania porzeczek, wiśni i opadłych jabłek na kompot i pierwszą szarlotkę, wyszukiwanie w ogrodowych grządkach zielonego koperku. Jeszcze większą obiadową atrakcją była wiejska czernina, tę przyrządzała po sąsiedzku mieszkająca ciotka. Znowu polowanie na dorodnego kaczora, który swym zielonym łbem szpanował w stadzie kaczek na pobliskim stawie (nasza pomoc była nieodzowna, bo ciocine córki nie chciały brodzić po mulistym dnie płytkiego stawu). Początkowo czerniny jako wyjątkowego specjału nie ceniłem, ale z czasem – doczekałem się tego przysmaku przyrządzonego już przez żonę we własnym gospodarstwie.

Innymi wakacyjnymi przysmakami (a może najbardziej codziennymi potrawami) było wspaniałe zsiadłe mleko (bez konserwantów i pasteryzacji), masło wyrabiane przez babcię w kierzance z domowej prawdziwej śmietany i wreszcie maślanka, pozostałość po wyprodukowanym maśle, znowu prawdziwa, z kawałeczka mi pływającego w niej maśle o smaku i zapachu, który pamięta się całe życie. Chleb, ten najwcześniejszy jaki



Rys. Arkadiusz Zajac

pozostał w pamięci, babcia wyrabiała sama w metalowej ocynkowanej przeznaczonej do tego celu waniecie mieszała mąkę, wodę, sól, zakwas, formowała bochenki, które wykladała w specjalne upieczone z cienkiego powróśla koszyki – i do pieca. W babcinym kuchennym piecu był specjalny piekarnik do chleba, palono w nim drewnem, a gdy osiągnął właściwą temperaturę (badaną przystawianym do drzwiczek gołym łokciem – nie pamiętam czy prawej, czy lewej ręki), wygarniano z niego resztki węgla i wsuwano przygotowane wcześniej chleby. Ile to trwało, też nie pamiętam, ale ogromne obsypane mąką bochny tak, smak też. Jedliśmy je dopiero następnego dnia rano, a taki wypiek wystarczał na co najmniej dwa tygodnie i nie czerstwiał. W późniejszych latach wyrobiony chleb (znowu ja z Andrzejem) nosiliśmy do pieczenia w piekarni, a z kuzynkami dźwigaliśmy całe blachy ciast - to w przeddzień imienin ciotki, na świętą Annę.

Wiejski kościół parafialny był właśnie pod wezwaniem św. Anny, to reszty nie muszę raczej tłumaczyć. W dniu patronki wypadał parafialny odpust ze wszystkimi jego atrakcjami, uroczystą sumą celebrowaną przez kilku wielebnych z sąsiadujących parafii, wielkim odpustowym jarmarkiem, karuzelą i obowiązkową strażacką zabawą – majówką nad stawem pod gołym letnim niebem, a w domu wielkim przyjęciem i zjazdem licznych gości.

Z chlebem, maślanką, kiszonymi ogórami wiąże się następne wspomnienie, tym razem żniwne. Nim na wieś zawitała mechanizacja wszystkie prace wykonywano ręcznie, żniwne też. Kilka obsianych żytem i pszenicą morgów kosiarze kosili ręcznie, pomagały im kobiety – ubieraczki, których zadaniem było zbierania położonego w pokos zboża i związanie w snopki słomianym powróstem. Z miasta przyjeżdżał inny wuj, i ze zmontowaną specjalną ekipą rozpoczynali żniwa. Wychodzili w pole na cały niemal dzień, bo szkoda było tracić siły na zbędną południową wędrówkę do domu. I znowu znajdowało się zajęcie dla mnie i Andrzeja, ze spakowanymi koszami pełnymi chleba, jajami na twardo, kielbasą (prawdziwą wiejską), kiszonymi ogórami i bańkami z czarną zbożową kawą - szliśmy w niesamowitym upale piaszczystą polną drogą dźwigając wcale nielekkie tobołki. Tamci czekali niecierpliwie porozkładani w bruzdach przy miedzy gdzie było ciut chłodniej; zjedli, ugasili pragnienie, by znowu przystąpić do znoonej pracy. My wracaliśmy z pustymi, dużo lżejszymi bagażami, oni wracali pod wieczór, jedli przygotowany gorący posiłek i szli spać, na sianie w stodole. Tak przez kolejne dwa lub trzy dni a potem, po kilku dniach (o ile nie było deszczu) zwózka. Tę lubiłem najbardziej, jechało się w pole drabiniastym długim wozem, wóz ładowano na wysokość pierwszego piętra i na takiej furze wracało do czekającej na plony stodoły.

Z dotychczasowej mojej wspomnieniowej relacji jednoznacznie wynika, że mieszkająca na wsi rodzina bez mojej wakacyjnej pomocy, pewnie nie dałaby sobie rady i marnie szczeła. Niech o tym zaświadczy jeszcze jeden fakt. Zanim, zgodnie ze wskazówkami

wielkiego Lenina zelektryfikowano wieś, światło zapewniały naftowe lampy. W babcinym gospodarstwie było ich kilka, od zwykłej „piątki” (to rozmiar szklanego klosza a zarazem jasności lampy) do... – inne pytania o techniczne tajemnice urządzenia do nieboszcza Łukasiewicza; ja zapamiętałem szklany pojemnik na naftę, szklany klosz osłaniający palący się bawełniany knot. Bardziej skomplikowana była lampa stołowa, małe wysmakowane cacuszko ze specjalnym szklanym kloszem osłaniającym okrągły płonący knot i porcelanowym niby abażurem. Co nieco z tego urządzenia uratowałem i kiedyś wykradłem, za co cała ludzkość powinna być mi wdzięczna. Stoi teraz (lampa) między innymi rupieciami w garażu, i czeka na... Innym wspaniałym okazem była wisząca nad stołem paradna lampa połączona z systemem (bardzo podobnym) bloczków i obciążników pozwalającym podnosić lub opuszczać lampę, aby uzupełniać zapas nafty, czyścić klosz, słowem umożliwić pełny serwis techniczny. Jeszcze inny typ naftówki, to latarka gospodarcza o w miarę bezpiecznej konstrukcji używana przy pracy w obejściu pełnym łatwopalnej słomy. Zapyta ktoś, gdzie tu miejsce dla mnie, jaka moja rola - no właśnie. Naftę kupowało się w miejscowym spółdzielczym (czy GS-owskim?) sklepiku; z Andrzejem dreptaliśmy z blaszaną pięciolitrową bańką (bańka była przedwojenna, lakierowana z reklamowymi napisami nieistniejących już firm) po tą żółtą, śmierdzącą ciecz. To, że z trudem tasczyliśmy ciężki pełen jajek kosz do punktu skupu nie warte jest nawet wspomnienia, podobnie jak obrywanie porzeczek wiśni czy innego agrestu.

Z czasem coraz bardziej upewniam się w przekonaniu, że beze mnie, bez mojej pomocy nie daliby sobie rady.

W wakacje nawet najcięższą pracę można przemienić w zabawę, a co można zrobić z zabawy – chyba tylko zabawę szampańską. Do takich zdarzeń należał nocleg w stodole, na sianie - tu przyznaję, zazdrościłem Andrzejowi, który jako tubylec doświadczał tej przyjemności niejednokrotnie. Siano zebrane w końcu czerwca było jeszcze puszyste i pachnące, zapach był odurzający, narkotyczny. W części stodoły gdzie je składowano, sięgało niemal dachu, więc umyć, najedzeni, wyposażeni w elektryczne latarki znanej częstochowskiej firmy „elektrody” (a może innej), w derki (kocy na wsi nie było) a nawet prześcieradła, wspinaliśmy się po belkach aż po kalenicę, by następnie jednym wielkim susem zagłębić się w szeleszczącej i kłującej siannej masie. Z prześcieradeł i derek mościliśmy legowiska zapadając się coraz głębiej i głębiej. Wreszcie sen, czy senne majaki. W sianie coś chrobotowało, łażyło, popiskiwało, wreszcie rozlegało się pohukiwanie mieszkających tu nielegalnie pary sów, słychać było ich ciężki lot i pisk, złapanę ostrymi szponami myszy. Na chwile wszystko cichło, a znowu rozpoczynał się nocny mysio owadzi gwar. Ponowny łoskot i pisk znak, że babciny Mrucek przyszedł na dietetyczny posiłek ze świeżych myszek i jeszcze dobiegające z różnych stron cieniutkie popiskiwanie – to nietoperze, sympatyczne gacki, które w dzień oglądaliśmy zawieszane pod dachem,

drzemiące w swej ulubionej pozycji głową w dół. Nad ranem wszystko cichło na krótko, do pierwszego piania kogutów, ale wtedy z pobliskiej szosy dobiegał turkot jadących na targ wozów lub słyszany z wielkiej odległości warkot samochodu. Gdy i to ucichło, zasypiałem na dobre, by ocknąć się pod ciężarem całej góry siana, które zsunęło się na mnie, a może ja kręcąc się i wiercąc zakopałem się w nim na kilka metrów w głąb. Poranna toaleta nie była łatwa - ręce, nogi i twarz podrapane przez ostre suszone źdźbła trawy w zetknięciu z wodą szczypały niemiłosiernie, połamanego siana nie dawało się wycesać ze zmierzwionych włosów, a intensywny zapach drażnił; pozostawała duma z tego wielkiego samodzielnego i odkrywczego przedsięwzięcia.

Sen na sianie, gdy już opanuje się emocje i wypracuje odpowiednią technikę, bywa naprawdę zdrowy i kamienny. Przekonałem się o tym, którejs nocy. Gdy rano wygramoliłem się ślad za Andrzejem spod zwalów siana, świat wyglądał ciut inaczej niż zostawiliśmy go poprzedniego dnia. Wszędzie stały ogromne kałuże wody, w poprzek drogi wiodącej do stodoły leżał ogromny zwalony wiąz, chmury zajęły miejsce słonka, zrobiło się zimno, wietrznie, ponuro. W domu okazało się, że całą noc szalała burza, wielkie drzewa łamały się jak zapalki, paliło się w okolicy w kilku miejscach, że piorun, który uderzył w drzewa nad stawem za drogą poraził konia pozostawionego na noc na pastwisku, a my - zagrzebani w sianie - przespaliśmy tę apokaliptyczną noc.

Letnie burze zdarzały się kilka razy w ciągu każdych wakacji i budziły prawdziwe przerażenie. Ciemności, ulewny deszcz, szalejący wichur, groźny pomruk odległych grzmotów i potworny łoskot i trzask bliskich wyładowań, spotęgowany oślepiającym blaskiem błyskawic, w zestawieniu z kruchością małego, choć mrowanego domu. Takiej burzy towarzyszyły egipskie ciemności, bo gdy jeszcze nie było elektryczności zgodnie z odwiecznym zwyczajem nie zapalano żadnego światła, a by nie „ściągnąć” piorunów, a gdy była już elektryczność, to „wysiadła” zaraz z początkiem nawałnicy. Zaraz też rozlegało się przeciągłe wycie strażackiej syreny ogłaszającej alarm. Ochotnicy strażacy nie bacząc na nic gnali do remizy, gdzie jedyny etatowy strażak, kierowca przedpotopowego czerwonego strażackiego samochodu siedział już za kierownicą, czekając na nadbiegających lub nadjeżdżających na rowerach, przemoczonych do suchej nitki członków załogi. W ciasnej kabinie samochodu zakładali kombinезony, kaski, bojowe pasy z przytroczonymi toporkami, a Szatan, – bo takie przydomkiem nosił nasz dzielny kierowca – gnał do pożaru wąskimi wiejskimi drózkami. Po latach o takich akcjach, gdy był już nieco starszym chłopcem, opowiadał mi Andrzej. Na skrót przez pola wraz z innymi chłopakami docierali na miejsce pożaru, pomagali, a z ich pomocy nikt nie rezygnował. Wracali nad ranem, a czasem i dużo później, szczęśliwi choć zmordowani, a ja mogłem tylko słuchać i zazdrościć.

Przed stodołą, w której czasami sypialiśmy, stał stary, przedpotopowy kierat, ongiś symbol wiejskiej no-

woczesności, mechanizacji, postępu. Żeliwny masywny korpus, wielka przekładnia - system kół zębatach, do zamiany końskiego wysiłku (powolnego miarowego chodzenia w kółko w zaprzęgu przytroczonym do drewnianej „napędowej” belki), który dzięki przekładniom, i stalowym, połączonym żeliwnymi mufami ciągnom, napędzał ustawioną o kilkanaście metrów dalej maszynę. Trochę skomplikowane, ale kto nie opylał w szkole na fizyce wie, o co chodzi. Najbardziej skomplikowaną maszyną była wielka młocarnia, drewniana, piętrowej wysokości skrzynia, do której z jednej strony ładowano snopy zboża a z drugiej odbierano wymłoczoną słomę, zaś gdzieś pośrodku do podstawionego worka sypało się wymłoczone ziarno. Znowu proste, no nie? Taką młóckę widziałem tylko raz, potem koniki i kierat zastąpił traktor „Ursus”, z miarowo pykającym silnikiem i kominkiem spełniającym rolę rury wydechowej, młocarnia była też inna, mniejsza i szybsza. Ale kierat pozostał, nie raz poganialiśmy zaprzęzonego do niego Gniadego, gdy wuj produkował z owsianej słomy sieczkę lub inną paszę. A jeszcze później był już tylko rdzewiejącym urządzeniem, które w zależności od potrzeb zmieniało się w obiekt coraz to innej zabawy.

Wiejskie dwumiesięczne wakacje dostarczyły tylu wspomnień, że trudno zmieścić je w tej relacji, może uda się przy innej okazji. Widzimy, że wszechobecny jest wujowy konik, ów Gniady vel Wojtek. Czasami chodziliśmy do kowala, gdy Gniady zgubił podkowę, czasami jechaliśmy wozem wioząc do naprawy pług, czy jeszcze coś innego. Kuźnia, jakże inny, jakże ciekawy świat. Z daleka słychać było dzwonienie kowalskich młotów uderzających miarowo w przekuwaną podkowę lub lemiesz. Uderzenia wymierzone i wyważone zmieniały rozgrzany do czerwoności metalowy pręt w zgrabną podkowę. Oczywiście towarzyszył temu cały skomplikowany system podgrzewania, hartowania, odpuszczania, dziś naukowo przebadany, opisany, znormalizowany, wtedy oparty na doświadczeniu kowala, nieopisany a skuteczny; kowalski piec ze skórzanymi miechami, ciężkie przytwierdzone do potężnego drewnianego pieńka kowadło, wiadra z wodą, w których hartowano przekute wyroby, przeróżne kleszcze, cęgi i młoty o różnej wielkości i ciężarze, stos żelaznego złomu. Przed kuźnią bariera, jak w westernach, do przywiązywania koni przyprowadzanych do podkucia. To dopiero było ciekawe widowisko: koń posłusznie podnosił nogę, kowal unieruchamiał ją zręcznym chwytem, czyścił specjalnym nożem kopyto, wycinał zbędne rogowe narośle, dopasowywał podkowę, jeszcze kilka umiejętnych uderzeń młotkiem, czyli wbicie hufniali (a w zimie haceli) i gotowe. Oj, chciało się wtedy być kowalem, tak zresztą jak po każdym pożarze strażakiem, a nawet kościelnym, gdy przyszło do obsługiwanie kościelnych dzwonów, o zbieraniu pieniędzy na tacę nie mówiąc.

*Zbislav Janikowki*



## Dalszy ciąg nastąpi?

Sabina Chróstowska

*Z zaciekawieniem i wzruszeniem przeczytałam Moje dni Częstochowy Zbysława Janikowskiego, opowieść o charakterze sentymentalnym, świetnie odtwarzającą m.in. realia okresu 1939-1945. Obszar Częstochowy okazał się miejscem ciekawym na tyle, by przypomnieć ówczesną szarość, ubóstwo, zgrzebnosć, a także bogactwo smaków, doznań, wzruszeń.*

Autor, obdarzony wspaniałą pamięcią, przywołuje odległe wydarzenia, rzeczy i ludzi, dostrzega najistotniejsze szczegóły, które stanowiły cały „kosmos”: wystawy, wille, które zniknęły, kasztany na Siedmiu Kamienic, lodziarzy, okres wyzwolenia, żołnierzy... Wzruszające są opisy niedgysiejszych ogrodów przy ul. Dąbrowskiego. Iluż częstochowian pamięta dzisiaj konny transport, knajpki z flakami, brizole i tatar, sutereny z wrózkami?

Gdy czytałam Dni, towarzyszyło mi uczucie uczestnictwa w wielu wydarzeniach, aczkolwiek świat dziewcząt jest zawsze inny. Byłam „tutejsza”, lecz moje lata okupacyjne i peerelowskie upływały na innym terenie niż pana Janikowskiego. Mieszkaliśmy na Aniołowie, niemal w środku przepięknych łąk, potem przy ul. Warszawskiej (na Kamieniu), toteż pewne wydarzenia pamiętam nieco inaczej. Kontakt „z miastem” był jednak codzienny, tam się chodziło do szkoły, na ryneček, w odwiedziny. Nasze życie przy aniołowskich łąkach, czyli na tzw. „grajdołku” też było niezwykle. Poświęciłam temu okresowi rodzaj pamiętnika z myślą o młodej generacji, która już częściowo rozproszyła się po Europie.

Powrócę krótko do kilku wspomnień, wspólnych wspomnień. Ewę Calewską podziwialiśmy, była ikoną tamtych lat, naszym niedościgłym wzorem. Chociaż my – dziewczyny ze Słowackiego – bardziej interesowałyśmy się żuźłowcami płci męskiej – Kaznowskim, Miechowskim, Wróblem. Żadnego meczu na Olsztyńskiej nie opuściłyśmy, szło się tam pieszo, z powrotem też. Rozgrzane emocjami, twarze miałyśmy czarne od żuźlu, nogi nie bolały. Gdy wyjechałam z Częstochowy, moje zainteresowanie tym sportem zupełnie wygasło.

Ważnym miejscem poświęca pan Janikowski ulicy Dąbrowskiego, w tym szkole podstawowej nr 4, do której uczęszczałam. Dodam, że w tym samym podwórku usytuowana była „dwójka”, czyli szkoła żydowska, o czym nikt nigdy nie wspominał. Z mojej szkoły mam bardzo żywe wspomnienia. Kierowniczką była pani Natalia Zawadzka, wychowawczynią pani Mischyszyn, śpiewu uczył nas pan Możykowski, zaś najpiękniejsza była pani Bukojemska, która miała „francuskie” loczki, falujące, gdy potrzasała głową i flirtowała z panem Możykowskim. W tej to szkole, dokładnie na ścianie w kierunku Jasnogórskiej po raz pierwszy ujrzałam „Tablice Mojżesza”, o których pięknie opowiadał nam katecheta, ksiądz Panek. Codziennie im się przyglądałam, robiły na mnie ogromne wrażenie. Biała

wysoka ściana i tablica z dziesięciorgiem przykazań wypisanych rzymskimi cyframi. – Patrz – powiedziała Irka, koleżanka z klasy – to jest nasza wiara. Irka była dobrą, rudą, piegowatą dziewczyną. Pięknie śpiewała w nieznanym mi języku. – To babcia nauczyła mnie tych pieśni – tłumaczyła. Pewnego razu kierowniczka wezwała Irkę i powiedziała, że przynosi ją do „dwójki”. Byłyśmy w trzeciej lub czwartej klasie, a więc był przypuszczalnie rok 1946-47. Z Irką widywałyśmy się na przerwach. Po wakacjach Irka zniknęła ze szkoły. Nie wiem, co się z nią stało. Po paru latach ktoś mi powiedział, że wyjechała z rodziną do Izraela.

Szkoła muzyczna na rogu Jasnogórskiej i Dąbrowskiego także wryła mi się w pamięć. Przechodząc obok, przystawaliśmy, bo słychać było ćwiczących uczniów o pięknych głosach. Raz w miesiącu cała szkoła chodziła na koncerty. Pamiętam występ słynnej skrzypaczki, Wandy Wiłkomirskiej. Była młodziutka i już bardzo sławna. Koncert bardzo nam się podobał, musiała bisować. Śledziłyśmy skrzypaczkę kiedyś na ulicy, ciekawe, gdzie pójdzie, co zrobi. Bardzo nas rozczarowało, że na obiad poszła do baru mlecznego. Obstąpiłyśmy ją, prosząc o autografy. Wpisywała je chętnie. Był to mój pierwszy autograf od sławnej osoby.

Na Wystawę Rolniczą w III Alei chodziło się ochoczo. Coś zobaczyć, czegoś posłuchać, kogoś spotkać. Oprócz filmów wspomnianych przez Zbysława Janikowskiego dorzucę jeszcze kilka innych: „Świat się śmieje”, „Pastuch i świniareczka”, „Wołga, Wołga”, „Cygański tabor”. Lubow Orłowa była olśnieniem, najpiękniejszą blondynką filmu radzieckiego. Jeśli chodzi o mężczyzn, podkochiwałyśmy się w Kadocznikowie (tytuły filmów, w których występował, jakoś umknęły mi z pamięci). Szczerze powiem – filmy radzieckie podobały się nam. Były to pierwsze filmy, jakie do nas docierały. Miałyśmy po 12-13 lat i innych nie znałyśmy. Nieco później zaczął przenikać neorealizm włoski i fascynacja przeniosła się na Italię; w naszych kasetach pojawili się piękni Włosi i Włoszki. W fotoplastikonie na okrągło oglądało się Półwysep Apeniński.

Pierwszym filmem polskim, jaki zobaczyłam, był „Ostatni etap” w reż. Wandy Jakubowskiej. Rycieliśmy, biliśmy brawo, cieszyliśmy się, gdy Armia Czerwona wyzwołała obóz. Tak było. Dlaczego teraz w wielu powtórkach filmów z tamtego okresu nie ma „Ostatniego etapu”? Agnieszka Holland bardzo chwaliła kiedyś w prasie zarówno film, jak i reżyserkę.

Do dziś pamiętam występy chóru Aleksandrowa. Coś niezwykłego. W czasach, gdy w domach nie było jeszcze radia, móc usłyszeć jeden z najwspanialszych chórów było szczęściem. W roku 1957, w czasie pobytu we Francji, byłam świadkiem, jak podbił serca Francuzów.

Tamte lata, tamte ubiory, fryzury, życie beztrudne i trudne, cudowne „bogactwo w biedzie” wydobyl pan Janikowski, zaś nam obiecał: *Na razie koniec.*

*Sabina Chróstowska, ur. 1935. Mieszkanka Częstochowy, romanistka, od wielu lat na rencie inwalidzkiej. Publikowała m.in. na łamach pism „Aleje 3”, „Integracja”, „Świat Ciszy”, „Arka”, „Gazeta Wyborcza”. Laureatka kilku konkursów literackich.*

## Z jastrzębiem

Zbigniew Burda

***Od pewnego czasu w podjasnogórskich parkach, można spotkać pana Sławka, któremu na czarnej i długiej skórzanej rękawicy siedzi duży ptak o przenikliwym spojrzeniu, z zakrzywionym, mocnym dziobem i z groźnymi szponami. Tym ptakiem jest jastrząb Harrisa (Parabuteo unicinctus) – nasz drugi bohater. Ta niecodzienna para, wzbudza nieukrywane zainteresowanie spacerowiczów.***

*Jak się zaczęła Pana przygoda z ptakami drapieżnymi?*

Zaczęło się to dawno temu. Jako mały chłopiec podziwiałem na niebie latające drapieżniki, bardzo mnie zaciekały, bardzo mi się podobały, szukałem ich zawsze w różnych miejscach. Najbardziej przypadł mi do gustu sokół wędrowny, lecz te ptaki w latach 60. w Polsce wyginęły, dopiero w latach 90. program restytucji sokoła wędrownego, pod pieczę Polskiego Związku Łowieckiego, zaczął introdukcję tego ptaka, którego można już oglądać na niebie. Ale mniejsza o to, wydaje mi się, że człowiek rodzi się już z taką pasją do czegoś i tak to przeważnie się zaczyna.

*Można pana spotkać w parkach podjasnogórskich, gdzie najczęściej na ramieniu lub na ręce siedzi panu jastrząb. W jakim celu?*

Pewnie to już wszyscy wiedzą. Wydział Ochrony Środowiska troszczy się o mieszkańców i turystów, by mogli spokojnie w parku odpoczywać, a jastrząb ma zredukować liczbę gniazdujących tu wron i gawronów, które nieploszono są bardzo liczne i wręcz przeszkadzają ludziom tu przebywać. Jastrząb ma zadanie trochę je przepłoszyć i zniechęcić

do zamieszkania w parku, a tym samym poprawić ludziom wypoczynek.

*Może opowie pan coś o samym ptaku?*

Jastrząb Harrisa jest ptakiem amerykańskim. Rozpiętość jego skrzydeł dochodzi do 120 cm. Zamieszkuje również w Meksyku, gdzie żyje i poluje stadnie na małe gryzonie, słabe ptaki. W Polsce jest ptakiem hodowlanym, on nie jest na tyle sprytny, żeby sobie poradzić i schwytać dzikiego ptaka, chyba że byłby to ptak chory, ranny lub młody, wtedy miałby szansę. Z dorosłymi ptakami sobie nie radzi, ale one o tym nie wiedzą. Zniechęca je wystarczająco swoją obecnością. Gdy goni jednego ptaka, inne to obserwują, podnosi się wrzawa, wrony alarmują, że jest drapieżnik w pobliżu, co powoduje, że większość tych ptaków widząc go codzienne, zniechęca się do zamieszkania w takim parku jak ten.

*A jak reagują przechodnie, turyści wypoczywający i spacerujący tymi alejkami, na widok pana z jastrzębiem na ramieniu?*

Różnie. Przeważnie są zadowoleni. Mieszkańcy odpoczywający tutaj chwalą, są bardzo zadowoleni, wręcz szczęśliwi, że tych wron już tyle nie ma i mogą spokojnie spacerować. Są też tacy, którzy uważają, że park jest dla ptaków a nie dla ludzi i nie lubią drapieżników, które przeszkadzają wronom i gawronom gniazdować. Uważają, że tutaj jest miejsce dla tych ptaków od setek lat i tak ma zostać.



Fot. Zbigniew Burda

## Wieś Rudniki

Polecamy książkę Adam Jarugi „Wieś Rudniki w powiecie częstochowskim w latach 1261-2006: zarys monograficzny”, wydaną przez Wydawnictwo Karbowski w Częstochowie (2008). Szczegółowa i niezwykle rzetelnie opracowana monografia pod baczny okiem znakomitego historyka, prof. Bartłomieja Szynclera, obejmuje etymologię nazwy, położenie geograficzne, uwarunkowania historyczne i rozwój miejscowości, hitlerowski obóz pracy przymusowej, fakty i okoliczności zbrodni nazistowskiej, życie gospodarcze i charakterystykę zawodową mieszkańców, organizacje społeczne i instytucje publiczne oraz oświatę, kulturę, życie religijne i sport.

Rudniki to miejscowość znana przeciętnemu częstochowianinowi średniego pokolenia z produkcji cementu, butów i lotniska. Okazuje się jednak, że jej historia jest bogata w historyczne wydarzenia, sprawiające że niewielka wieś stanowi prężny ośrodek przemysłowo-społeczno-kulturalny. Nazwa jej pochodzi najprawdopodobniej od rudników, czyli górników i dymarzy zajmujących się wytapianiem rud. W świetle źródeł historycznych Polska należy do krajów, które pierwsze na świecie rozpoczęły w skali przemysłowej produkcję cementu. Cementownia „Jakub” w Rudnikach powstała w latach 1897-1898, w oparciu o kapitał francuski, z roczną produkcją 9000 ton., na dworskich terenach wsi należących do rodziny Przybylskich, właścicieli miejscowości.

W XX w. zaistniały Zakłady Wapienne „Wapnorud”, Zakłady Chemiczne, Fabryka Wyrobów Stalowych. Ten rozwijający się od drugiej połowy XIX w. przemysł zapewniał na tym terenie najmniejsze bezrobocie. Po II wojnie światowej powstała Cementownia Rudniki, a teren wsi stał się rychło zagłębiem szewskim i cholewkarskim, zaś w latach 90. powstało tu wiele wytwórni makaronu.

Przeciętnemu częstochowianinowi Rudniki kojarzą się także z lotniskiem. W 1941 roku Niemcy rozpoczęli budowę lotniska wojskowego o niespotykanym i bardzo długim jak na owe czasy pasie startowym, z którego startować miały samoloty Luftwaffe przeznaczone do działań bojowych w rejonie na wschód od Warty i Pilicy. Podczas wojny odegrało powierzoną mu rolę, jednak po wojnie przechodziło różne etapy zagospodarowania. W 1957 roku przejął je Aeroklub Częstochowski, goszcząc 22 lipca 1961 roku pierwszego kosmonautę, majora Jurija Gagarina, który otrzymał wtedy honorowe członkostwo Aeroklubu PRL.

W roku 1979 wylądował tu, podczas pierwszej pielgrzymki do ojczyzny, Jan Paweł II oraz przybył pierwszy polski kosmonauta, ppłk dypl. pil. Mirosław Hermaszewski. Zawile losy decyzji władz PRL przyznają Rudnikom włączenie do krajowej sieci połączeń pasażerskich Polskich Linii Lotniczych LOT, w wyniku czego 6 czerwca 1983 o godz.

10.35 wylądował w Rudnikach pierwszy samolot rejsowy z Warszawy, a wystartował pierwszy samolot do Gdańska. Niestety, rudnicki port lotniczy istniał tylko kilka lat, do sierpnia 1983 roku.

Mało znaną kartką historii Rudnik jest fakt istnienia przez cały okres II wojny światowej w kamieniołomach należących do Zakładów Wapienniczych, hitlerowskiego obozu pracy przymusowej, gdzie zatrudniano Polaków, Rosjan i Żydów. Komendantem obozu był wyjątkowo okrutny Hugo Schulze, za swoją „działalność” został przez Kedyw AK skazany na śmierć i mimo ochrony, w sierpniu 1943 roku wyrok wykonano. Pierwszy transport do tego obozu przybył wiosną 1940 roku i składał się z byłych żołnierzy Wojska Polskiego, skazanych za próbę ucieczki z obozów jenieckich. Istniał do 1943 roku, przebywało w nim ponad 160 osób, ale nie wiadomo ilu naprawdę zginęło.

Prężne środowisko Rudnik dbało o rozwój szkolnictwa; pierwsza szkoła miała powstać na początku XIX, tak jak pierwsza ochronka dla dzieci przedszkolnych powstała przed r. 1911. W krótki czas potem powstaje Ochotnicza Straż Pożarna, a lata późniejsze przynoszą powstanie m.in. biblioteki publicznej, orkiestry dętej, kościoła.

Szczegółowo opracowana, sumiennie wykorzystująca źródła, bogato ilustrowana, zaopatrzona w mapki, obszerną bibliografię, szyta, z kolorową obwolutą - pięknie wydana pod honorowym patronatem Starostwa Powiatowego w Częstochowie monografia stanowi niezwykle wartościowe źródło wiedzy o naszym regionie i z tego tytułu jest jak najbardziej godna polecenia. Polecenia godną jest także ogromna determinacja Autora, który z wielką dociekliwością zadał sobie mnóstwo trudu, by powstało źródło rzetelne, wiarygodne o charakterze naukowym.



*Joanna Grochowska*

## Częstochowa i okolice

W Częstochowie od dawna brakuje dobrego przewodnika po mieście. Kilka lat temu J. Pawlikowski z J. Dędkiem wydali „Częstochowę dla każdego”, ale książka (właściwie mini album) rozszedł się w ciągu jednego sezonu, a na dodruk zabrakło autorom pieniędzy. Władze miejskie nieszczególnie się tym przejmują, gdyż nie są wydawnictwem i formalnie nie mogą wydawać książek. Foldery i informatory rozdawane na imprezach promocyjnych się nie liczą. Inicjatywa musi iść od dołu.

Śmiałkiem, który podjął się tego zadania jest pan Zbigniew Stochel – przedsiębiorca z Wierchowiska. W czerwcu wydał własnym sumptem książkę „Częstochowa i okolice. Przewodnik turystyczny”. Zdażył, bo sezon się zaczął i pozycja z pewnością bardzo szybko znajdzie nabywców. Cena nie jest wysoka (ok. 30 zł), a wydanie dosyć przyzwoite (ok. 270 str.). Format do większej kieszeni, dobry papier, wiele kolorowych i dobrej jakości zdjęć, przejrzysty układ. Przyjemnie się to czyta i miasto wygląda tu dosyć atrakcyjnie i zachęcająco (według zasady: tradycja + nowoczesność). Przede wszystkim Częstochowa nie jest tu dodatkiem do klasztoru, któremu poświęcono tylko jeden z rozdziałów. Jest trochę historii i ciekawostek ale głównie sporo praktycznych informacji na temat noclegów, komunikacji, restauracji, zakupów, galerii, zabytków, spędzania wolnego czasu (telefony, adresy, strony internetowe, mapa, godziny działania). Znalazło się też miejsce na wzmianki o klimacie, przyrodzie i potrawach regionalnych. Tak jak w normalnym przewodniku być powinno. Przydałaby się w tym miejscu jakaś propozycja tras spacerowych po mieście, ale nie przesadzajmy. Ostatni rozdział mówi o okolicach Częstochowy, m. in. o Olsztynie, Złotym Potoku, Kruszyńcu, Mstowie, Koszęcinie itp., też wartych zobaczenia. Autor wie o czym pisze, a informacje są podane rzetelnie i we właściwych proporcjach.

Pan Stochel jest optymistą (i chyba też pasjonatem) i liczy na duże zainteresowanie książką. Zapowiada kolejne wznowienia. Życzę mu tego, tym bardziej, że żadnej konkurencji na rynku nie ma i chyba nie będzie miał, bo renomowana firma Marco Polo wycofała się z przygotowań do druku swojego przewodnika po Częstochowie (czy kilkumilionowa rzesza turystów rocznie to za mały krąg potencjalnych nabywców?). Chociaż taki mini przewodnik do 100 stron też by się w grodzie pod Jasną Górą przydał. Pan Stochel nie korzystał z żadnych miejskich dotacji (choć mógł się o nie starać). Po prostu pomyślał trochę, zabrał się do roboty, zainwestował i coś mu wyszło. Do odważnych świat należy.

*S. Burszewski*

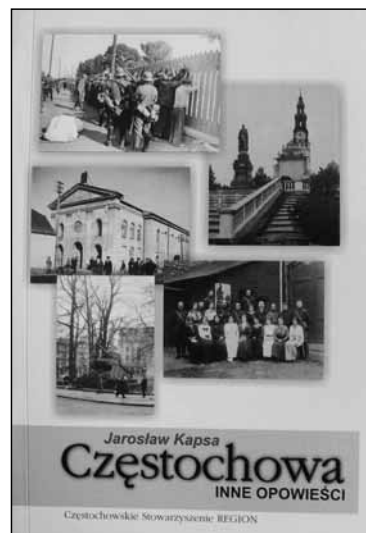


## Jasna Góra na fotografiach Adama Bujaka

Nowy album Adama Bujaka, znakomitego artysty fotografika pt. „Jasna Góra - 700 lat”, owoc kilku lat pracy.



## Częstochowa. Inne opowieści



Nowa książka Jarosława Kapsy, w której znany dziennikarz opisuje znane i nieznanne historie z życia Częstochowy na przestrzeni minionego stulecia

## Najpierw piknik, potem bitwa że aż strach

Janusz Piernikarski

W dniach 18-20 lipca przez Częstochowę prze-  
maszerowały obce wojska. Nie był to jednak powód  
do obaw dla mieszkańców miasta, jako że obecność  
oddziałów z początku XIX wieku stanowiła kanwę  
Pikniku Wojsk Napoleońskich. Kilka grup rekon-  
strukcyjnych przybyło do naszego miasta wiecz-  
orem w piątek 18 lipca i rozłożyło się obozem przy  
Promenadzie Czesława Niemena; towarzyszył im  
pokaz ogni sztucznych.

Następnego dnia rano częstochowianie mogli  
oglądać sceny z życia obozowego żołnierzy doby  
napoleońskiej. Wśród nich znajdowali się Prusacy,  
Austriacy, Rosjanie i wojska Księstwa Warszaw-  
skiego – głównie piechota liniowa z bodaj czterema  
armatami oraz dwoma moździerzami. Towarzyszyły

im markietanki; kilka kobiet nosiło także mundur  
i broń. Duże zainteresowanie wzbudziła musztra  
piechoty pruskiej.

O godzinie 15.30 pododdziały znalazły się na  
Placu Biegańskiego, skąd, po części oficjalnej, prze-  
maszerowały na błonia jasnogórskie. Tam odbyła się  
rekonstrukcja starcia z 1807 roku pomiędzy Prusaka-  
mi, próbującymi zdobyć konwój ewakuujący z Jasnej  
Góry transport dzieł sztuki, a oddziałami polskimi,  
które usiłowały im przeszkodzić.

Lekką rozbieżność z historią spowodował udział  
w rekonstrukcji Rosjan (po stronie pruskiej) i Au-  
striaków (po stronie... polskiej). Brak kawalerii  
rekompensowali trzej konni policjanci, przebrani  
w kurtki z epoki.

Niestety, nasz wysłannik nie wykazał się należy-  
tym duchem walki i pod ogniem artyleryjskim i karabinowym  
opuścił plac boju, zanim doszło do rozstrzygnięcia. Jed-  
nak wymiany ognia, walki wręcz, kłębow dymu procho-  
wego i komend w językach oryginalnych nie zabrakło.  
Następnego dnia wojska ruszyły na Złoty Potok.



Na zdjęciach: *Piechota pruska oddaje salwę, całkowicie zgodną z regulaminem.*

*Grupa wojsk austriackich (w cywilu Czesi) w tej rekonstrukcji stoi jednak po stronie Polaków. Przykład złożonej sytuacji narodowościowej imperium Habsburgów nakłada się tutaj na rzeczywistość współczesnej wspólnej Europy, w której zacierają się przyczyny dawnych wojen i konfliktów.*



## Pamiętajmy o Tybecie

Trwają zmagania sportowców na igrzyskach olimpijskich w stolicy Chin, Pekinie. Władze państwowe Chin wydały miliony dolarów, aby świat zobaczył i uwierzył, że w tym kraju nie dzieje się nic złego, lu-

dzie żyją dostatnio, kraj rozwija się dynamicznie i nie są łamane prawa człowieka.

Tymczasem ponadmiliardowe państwo za pomocą wojska i wszelkich rodzajów przemocy od pół wieku wymazuje z mapy małego sąsiada - kilkumilionowy Tybet, z jego tradycją, kulturą i religią.

Mamy własne, europejskie wzory takich działań – w Polsce rozbiory, okupacje, dominację mocarstwa zza miedzy.

Pamiętajmy o Tybecie. To jest także pamięć o nas samych.



Fot. Zbigniew Burda

*Koncert i pokaz modlitewnej muzyki buddyjskiej podczas Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Sakralnej „Gaude Mater” w Częstochowie (1996).*

## My, Metropolia

Z wielkim smutkiem dowiedzieliśmy się, że miasto Częstochowa nie jest brane pod uwagę w projek-

tach tworzenia tzw. obszarów metropolitalnych, ustawa rządowa przewiduje tylko 12 metropolii.

Stosowne stanowisko w tej sprawie przyjęła Rada Miasta Częstochowy, apelując do władz o uwzględnienie aglomeracji częstochowskiej w planach tworzenia nowych ośrodków metropolitalnych. Trzymamy kciuki.

Pamiętajcie, że jeszcze dziesięć lat temu byliśmy siedzibą województwa?

## Piękny jubileusz

**Janusz Gniatkowski**, niezwykle popularny kiedyś artysta estradowy, świętował swoje osiemdziesiąte urodziny. Były kwiaty, wspomnienia i życzenia.

Gratulujemy formy i życzymy dalszych sukcesów.



Fot. Leszek Pilichowski

## MDK jak pałac

Przekazano do użytkowania wyremontowany budynek Młodzieżowego Domu Kultury – dawny pałacyk Hantkego (oraz pływalnię). Remont kosztował 10,5 mln zł.

W dawnej rezydencji właściciela częstochowskiej huty, Bernarda Hantkego, mieścił się po wojnie zakła-

dowy dom kultury huty im. Bieruta. Budynek i dom kultury dzieliły losy firmy, chyląc się ku upadkowi. Szczęśliwie, ostatnie lata okazały się dobre tak dla huty, jak i dla dawnego pałacyku.

„Mamy nadzieję, że dobry duch właściciela tego obiektu będzie dalej tutaj czuwał” – usłyszeliśmy podczas oficjalnego otwarcia obiektu. Nie wiemy, co dokładnie oznaczają te słowa, ale poczytujemy je za dobrą wróżbę.



Fot. Leszek Pilichowski

## Piękny koncert

W Częstochowie wystąpiła z pięknym koncertem Aga Zaryan. Znakomita wokalistka jazzowa przedstawiła utwory z programu „Umiera piękno”, nagranych w ub. roku z okazji rocznicy wybuchu Powstania

Warszawskiego. Koncert na skwerze przed Liceum Sienkiewicza zorganizowała Biblioteka Publiczna im. dr. Władysława Biegańskiego.



Fot. Leszek Pilichowski

## Praca magisterska o „Alejach 3”

Pani Katarzyna Basińska, do niedawna studentka Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie, obroniła pracę magisterską nt. życia literackiego na łamach pisma „Aleje 3”. Gratulujemy pani magister oraz jej promotorce, pani prof. Elżbiecie Hurnikowej.

Dziękujemy. Jesteśmy dumni.

## Stypendia dla młodych artystów

Prezydent Tadeusz Wrona wręczył kolejne stypendia dla zdolnych i twórczych. Otrzymało je 38 młodych ludzi z Częstochowy (do 30. roku życia), rokujących największe nadzieje w różnych kategoriach artystycznych.

Komisje stypendialne, składające się ze specjalistów w danej dziedzinie, radnych i urzędników, obradowały w siedmiu kategoriach: sztuki plastyczne – 76 wniosków, muzyka – 21, literatura i historia – 4, teatr – 1, film – 2, taniec – 9, upowszechnianie i ochrona dóbr kultury – 2.

Komisje przekazały do akceptacji prezydenta wnioski o 24 stypendia cykliczne i 14 jednorazowych.

Wysokość stypendium cyklicznego wynosi dla uczniów 200, dla studentów 300 zł wypłacanego przez 10 miesięcy, natomiast jednorazowego - w zależności od przedstawionego programu stypendialnego - waha się między 1500 a 2300 zł.

## Dla wygody fauny

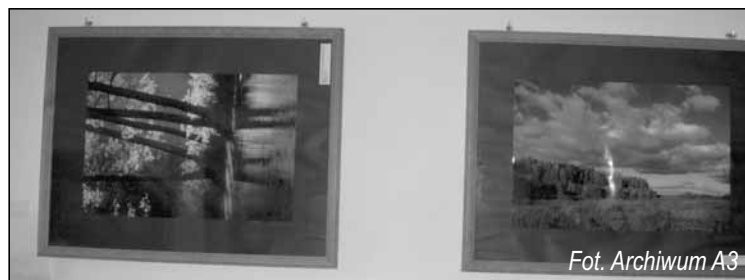


Fot. J. Piernikarski

Są miasta, gdzie władze nadzwyczaj dbają o przyrodę. W Cieszynie, podczas upałów, gołębie (oraz inne ptactwo) mogą swobodnie korzystać z miejskich fontann i wodotrysków. I to bez żadnych opłat parkingowych!

Warto ten zwyczaj zaprowadzić w Częstochowie.

## Dla wygody ludzi



Fot. Archiwum A3

Są miasta, gdzie władze dbają o odbiorców kultury. W muzeum w Sejnach obrazki wieszają się według formatu ram, żeby widzowie nie musieli wysilać oczu na rozróżnienie: pion czy poziom.

Warto ten zwyczaj zaprowadzić w Częstochowie?

## NOTES WAKACYJNY

Tajemnicze to miejsce odkryliśmy podczas wakacyjnych podróży po kraju. Napis na stodole głosi: TU WALIC ŁBEM. Prawdopodobnie jest to wiejska poradnia psychologiczna. Mamy nadzieję, że i w Częstochowie powstanie tak potrzebna instytucja.



Fot. Archiwum A3

# WOREK CZĘSTOCHOWSKI nr 10

## Le Vorecq Czenstochovien

pod redakcją Janusza Piernikarskiego i Jana T. Podżdama

### MELODIA FIRMOWA

Jakiś czas temu doczekaliśmy się hejnału granego z wieży ratusza. Niestety, na Placu Biegańskiego panuje taki ruch, że mało co słychać. Tymczasem przydałby się Częstochowie reprezentacyjny motyw muzyczny, odgrywany na różnych uroczystościach miejskich oraz przy okazji promocji miasta, który automatycznie z Częstochową i jej regionem byłby kojarzony. W rozpisany niedawno konkursie przyszło około 16 zgłoszeń, ale jako pewniaków podaje się dwóch kompozytorów. Jeden z nich to Władysław Zatechlik, autor m.in. „Kakofonii B-dur”. Natomiast Krzysztof Młakwa wystawił do konkursu jedną ze swych „Pieśni na sopran, kotły i patyk Chapmana”. Naszym zdaniem większe szansę ma jednak Zatechlik, a to ze względów technicznych: jedyny w Częstochowie posiadacz patyka Chapmana jakiś czas temu wyjechał do Gwatemali.

### WPADKA FAŁSZERZA

Policja zatrzymała niebezpieczny gang fałszerzy obrazów. Po dramatycznym, wielogodzinnym pościgu, w okolicach Węgorzewa pojmany został 37-letni Jacenty K., fałszerz wyspecjalizowany w podrabianiu podpisów mistrzów malarstwa. Jako dowody rzeczowe w stodole w Radostkowie zabezpieczono 14 kopii dzieł znanych malarzy, których przestępcy jeszcze nie wprowadzili do obiegu, a także ponad 50 czystych płócien, jedynie z naniesionym autografem sprofanowanym przez Jacentego F. – resztę obrazu miał domalować współnik w innej miejscowości. Na trop gangu udało się wpaść dzięki błędowi: na kopii „Autoportretu z Saskią” znalazł się sfalszowany podpis F. Maśluszczaka.

### PODPITY MUSICAL

W Operetce Częstochowskiej wystawiają niezwykle interesujący musical „Piwopijcy”. Jest to fascynująca podróż po barach świata, wykorzystująca piosenki z tak różnych krajów, jak Irlandia, Niemcy, Brazylia czy RPA. Co prawda nie jest przewidziane wydawanie piwa podczas spektaklu, ale w antrakcie będzie można się pokrzepić kufelkiem w bufecie. Scenarzystka i zarazem reżyser musicalu, Swietłana Cafuzo-Nagibina, zdradziła nam, że spodziewa się przyciągnąć do Operetki rekordową widownię w sezonie letnim. My zaś mamy nadzieję, że dzięki „Piwopijcom” repertuar kielichowy Częstochowian przestanie się ograniczać do „Góralu, czy ci nie żal” i „Hej sokoły”.

### WIEŚ NA MALYM EKRANIE

W dzisiejszym zurbanizowanym społeczeństwie wieś stała się znowu atrakcyjna, co widać choćby w popularnych produkcjach telewizyjnych. Nasz korespondent dowiedział się, że tego lata wystartują zdjęcia do pierwszych odcinków serialu „Od chamerii do farmerii”, opowiadającego dzieje rolniczego rodu Nurzyków. Reżyserem kręconej w podczęstochowskich wsiach telenoweli jest Orest Bibajło, wcześniej znany z ukraińskiego serialu dokumentalnego „Drobnicowiec”. Scenarzysta Jerzy Samotrzcęć zapowiada, że ma już gotowe 613 odcinków, i to z uwzględnieniem losowych zmian w rodzaju śmierci, ciąży czy nagłego wyjazdu odtwórców poszczególnych ról.

### CHWYTAJ ZA PĘDZEL

Rozpoczął się VII Konkurs Malarski Podczęstochowia, który zostanie rozstrzygnięty w końcu września. Udział może wziąć każdy mieszkaniec naszego powiatu i bezpośrednio sąsiadujących gmin, który przedstawi swą pracę przed upłynięciem terminu. Profesjonalne podejście do młodych malarskich talentów gwarantuje skład jury, któremu przewodniczy prof. Juho Lähmyytta z Akademii Sztuk Pięknych w Rovaniemi. W tym roku tematem konkursu są portrety laureatów poprzednich edycji.

### CO SIĘ WYDAJE

Niektórzy uważają, że dzieło literackie można należycie zrozumieć tylko po zapoznaniu się z biografią autora. Jesteśmy innego zdania – autor to autor, a utwór to utwór, i w tym kontekście nie ma znaczenia, czy Krzysztof Kamil Baczyński był średniowiecznym mnichem. Jednak wiadomości o życiu twórcy mogą rzucić sporo światła na jego inspiracje. Na przykład ostatnio wpadł nam w ręce zbiór poezji Szymona Piglickiego. Jego wiersze charakteryzują się spokojnym, nieśpiesznym tempem i zarazem trudną do zdefiniowania masywnością. Sprawdziliśmy – Piglicki z zawodu jest operatorem walca drogowego.

### SPOTKANIA NA PELENGOWEJ

Centrum Studiów Artystycznych „Neshoma” przy ul. Pelengowej 15 proponuje kolejne kursy dla młodych twórców. 19 sierpnia niemiecki psychiatra prof. Richard Dudławy wygłosi wykład „Nie tylko elektrowstrząsy: jak radzić sobie z grafomanią”. Natomiast 25 sierpnia odbędą się warsztaty literackie połączone z sympozjum pod hasłem „Motyw kotłowni w kulturze polskiej i światowej”.

### INFORMACJA TO POTĘGA



Fot. J. Piernikarski

**Piotr Kaniecki** – ur. 1972 w Częstochowie. Absolwent ASP w Warszawie (Wydz. Malarstwa, specjalizacja: grafika warsztatowa, 1999). Obszary twórczej penetracji: malarstwo, grafika, video-realizacja. Nauczyciel malarstwa i rysunku w Zespole Szkół Plastycznych im. Jacka Malczewskiego w Częstochowie.

**Na naszych okładkach obrazy P. Kanieckiego:**

I, IV – Góra Oliwna

II – Plaża w Tel Avivie; Jerozolima

III - Wrony





